CENA 15 ZŁ

W numerze początek dyskusji: Kościół a polityka

Odra tygodnik

KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 7 GRUDNIA 1947 ROKU

NUMER 49 (106)

ROK III

WILHELM SZEWCZYK

Horyzonty zgody

1 Życie*) w Polsce powojennej toczy się po znakiem zacierania granic i jednoczenia. Jedność realizowana na płaszczyźnie politycznej, w przeciwieństwie do „jedności“ Ozonu, udała się a udała się dlatego, że fundament jej stanowi praca. Będąc realistami odrzucamy, mówiąc o pracy, takie zblazowane pojęcia jak „radosna twerczość“, „radość tworzenia“ czy hasło „pracy błogosławieństwo niosącej“, zapamiętane i rozwinięte, w oczywistej niezgodzie z dniem powszednim, przez niektórych autorów dwudziestolecia. Niemniej patrząc na ogrom pracy, dokonany w dziele odbudowy kraju w ostatnich trzech latach, na wielkie masy narodu, sprzągnięte z zagadnieniami pracy trwale i szczerze, jesteśmy optymistami. Optymizm ten, nie sprzeniewierzając się bynajmniej chłodnym proporcjom realizmu, przenosimy także coraz częściej w dziedziny ideowe.

O ile łatwo byłoby nam określić geografię pracy, narysować na obrazie Polski jej szczyty i równiny, nakreślić zmieniające się tło dla nowych osiągnięć gospodarczych — tło wyrównują zjednoczone ręce całego narodu, położone na młocie, igle i piórze — o tyle trudniej przyszłoby tysować mapę przekonań ideowych, walk staczanych w tej dziedzinie. Obraz społeczeństwa polskiego pod tym względem ani nie jest jednolity ani wyraźnie zróżnicowany, — jest skomplikowany. Możemy jedynie wyróżnić warunki, które ten obraz kształtują w kierunku pewnej jasności i wyrazistości a jednym z tych warunków jest właśnie praca, wspólna praca dla kraju, dla siebie jako członka społeczeństwa i dla społeczeństwa jako świadomego swych zadań narodu. W pracy jednoczą się katolicy, którzy, przynajmniej jeśli o formalną przynależność do kościoła chodzi, stanowią ogromną większość narodu, i marksiści, którzy na terenie Polski stanowią ciekawy niespotykany na ogół gdzie indziej obraz grupy ideowej, w większości swej godzącej katolicyzm praktyczny z świadomością klasową i polityczną, kształtowaną przez partie, do których należą. **To sąsiedztwo w pracy i w partii, bo przecież członkami naszych partii marksistowskich są w większości katolicy, uniemożliwia powstanie w łonie narodu wielkiej jakiejś walki ideowej, które oderwałoby uwagę od pracy, od zadań obywatelskich tak ważnych zwłaszcza w dobie dzisiejszej.** I z tego ważnego punktu widzenia należy także popatrzeć na obraz społeczeństwa katolickiego i Kościoła w Polsce, stosunek Kościoła do państwa, rolę hierarchii kościelnej wśród zagadnień odbudowy, pracy, jednoczenia narodu, szukania drogi dziejowej dla narodu, tak strasznie skrzywdzonego przez historię.

2 Wydaje mi się, że wśród katolików polskich dokonały się w ostatnich latach wielkie przemiany. Nic dziwnego, my katolicy jesteśmy nie tylko członkami narodu ale i jego trzonem. Kto poznał drogę przemian historycznych, ten nie może oddalić się od kierującego się według nich narodu. Zrezygnowaliśmy z wielu uczuciowych nawyków, które w dzisiejszym stanie polityki polskiej stanowiłyby jedynie przeszkodę, uniemożliwiającą nawiązanie kontaktu z rządem. Zwarliśmy się mocniej wokół zadań, stanowiących sens polskiego wieku odbudowy. Niestety wiele tych przemian odbyło się wśród nas katolików bez współudziału części naszej hierarchii kościelnej. Inaczej nie byłoby potrzeby wyodrębniania grup tzw. postępowych katolików lub demokratycznych księży (por. depeszę „księży demokratycznych“ do premiera Cyrankiewicza po jego exposé, określającym stosunek rządu do Kościoła), co jest dowodem pewnych różnic politycznych wśród wyznawców kościoła katolickiego a nawet wśród jego ziemskich urzędników.

W dzisiejszym okresie dziejowym naszego narodu znów stało się potrzebnym wspomnienie historycznych perypetii Kościoła i państwa polskiego. Nauka płynąca z dawnych błędów jest dziś Kościołowi potrzebna. Nienawiść wyznaniowa była powodem wielu wykroczeń przeciw oczywistym interesom politycznym Polski. August II — pisze Brückner — pozornym przejściem na katolicyzm koronę uzyskał, pozostał jednak w duchu lutrem, a raczej w nic, prócz siebie, nie wierzył, pieskom swoim zawieszał różańce. Toż samo wynikało z ślepego posłuszeństwa Rzymowi w momentach, w których samodzielność polityczna lepsze losy ojczyźnie zgotować mogła. Potęga hierarchii kościelnej nie była potęgą narodu. Dopóki ówczesne stosunki społeczne utrzymywały taki układ sił, dopóty księża, synowie ludu, małorolnego chłopa i proletariackiego robotnika, utrzymywali z warstwą, z której wyszli, kontakt jedynie przez obrządek kościelny. Innego kontaktu, który by mógł wpłynąć na poczynające się wyzwolenie socjalne warstw niższych, niestety nie było. Pomijam oczywiście takie piękne wyjątki jak ks. Ściegienny i jego „Złotą książeczkę“. Obok Kościoła wyrastała nowa potęga, uświadomione warstwy robotniczo - chłopskie. Obrządek kościelny nadal stanowił główną łączność między Kościołem a tymi warstwami, Świadomość polityczna jednak była różna. Kościół trwał w swych pobudowanych na średniowieczu koncepcjach politycznych, ufny sile hierarchii i wiary. Ale interesy polityczne państw katolickich zaczynały się różnić. Ponadnarodowa wartość i siła Kościoła nie mogły przeszkodzić wojnom. Zaczynały się klęski tym dotkliwsze, że ponoszone na wielu płaszczyznach. Kościół nie chciał się oderwać od polityki, choć nie mógł jej już opanować. Fala zepsucia moralnego gnała niepowstrzymanie naprzód, a Kościołowi brakło płomiennych przewodników, którzy by własną ofiarnością i śmiercią poświadczyli triumf wiary i moralności nad niesławą ziemskich rozkoszy. Liczni regionalni święci i męczennicy zbyt osobiste ponosili ofiary, by móc nimi wstrząsnąć narodami.

Zbliżały się coraz trudniejsze chwile. Może będą to chwile rozdroża a może chwile wielkiej przemiany? Lata wojny i ostatnie trzy lata powojenne, sytuacja w jakiej znalazł się Kościół w różnych państwach — Francja i Niemcy dają najciekawsze choć różne przykłady — staną się niewątpliwie początkiem owych chwil, chwil rozdroża lub przemiany.

3 Nie chciałbym tej historycznej sytuacji Kościoła, zwłaszcza w Polsce, upraszczać. Zanotowano tu tylko pewne sygnały historyczne, od których odwracać się niepodobna a które nam, postępowym katolikom, pomagają określać stosunek do przemian politycznych a nawet światopoglądowych, jakie dziś przeżywa świat a z nim i Polska.

Kościół jest instytucją opartą mocno na pewnych odległych wzorach hierarchii. Prawdziwy katolik zawsze będzie żałował buntu przeciw hierarchii, która wzbudza w nim poczucie siły. Ale w sytuacji dzisiejszych przemian społeczno - politycznych życie państw wciąga mocniej katolików, członków określonego historycznie i merytorycznie narodu, w swoje tryby. Życie państw dawno już nie kieruje się według polityki kościelnej, polityki Rzymu. Rzym nie przestał być autorytetem moralnym ale i tam autorytet ten zmierzcha, gdzie określonej rzeczywistości politycznej Watykan usiłuje przeciwstawić swoją własną ziemską politykę. Te fakty trzeba widzieć jasno i uznać.

Polska znalazła się w osobliwej sytuacji historycznej, w którą popchnęła ją w pierwszym rzędzie agresja niemiecka i wojna. Rozwiązania polityczne, których szukała pewna część narodu już w okresie konspiracji a które zwyciężając po wojnie pociągnęły większość Polaków, nie były uwzględnione w rachunku Kościoła jako instytucji ziemskiej, dalekie były od koncepcji politycznych Watykanu. To też Kościół po wojnie stanął na terenie Polski wobec konieczności przemiany. Nie mogąc znaleźć bezpośredniego kontaktu z rządem i z partiami politycznymi, które go nie zwalczały, ale realizowały swój program ogólnego wychowania bez oparcia się o jego pomoc i doświadczenie, nie mogąc przeszkodzić rzeszy swoich polskich wyznawców w nawiązywaniu współpracy z nową rzeczywistością, w współtworzeniu przez nich nowego życia, w rozwiązywaniu nowych problemów, **powinien był Kościół polski stanąć na ich czele po stronie nowej rzeczywistości i rządu, wpływać na bieg ogólnej przemiany tak, by nie odbiegała ona od zasad wielkiej religii pokoju i miłości jaką jest chrystianizm, przepoić demokrację swoją doświadczoną gorliwością i zapałem, demokrację będącą przecież cząstką ideologii społecznej Kościoła.**

4 Czy Kościół w Polce może odgrywać rolę opozycji politycznej i czy ma prawo mieszać się w stosunek obywatela do państwa? Nie, nie może odgrywać roli opozycji politycznej, bo po pierwsze nie jest on instytucją polityczną i posiada zgoła inne cele do spełnienia na ziemi a po drugie obowiązkiem jego jest panowanie w określonych dziedzinach nad sumieniami i duszami wszystkich obywateli a nie tylko tej ich części, która odwraca się od rządu. Nie ma także prawa mieszania się w aktualnej sytuacji polityczno-gospodarczej Polski w stosunek obywatela do państwa i odwrotnie z dwóch powodów:

1. Stosunek ten warunkowany jest przez osobliwą i szczególną sytuację polityczno - gospodarczą naszego kraju, jest wynikiem szczególnego natężenia sił, potrzebnego do podniesienia Polski z gruzów;

2. Kościół, uznając pewne obiektywne warunki, zaniechał zwłaszcza w okresie po utrwaleniu się rządów Hitlera, swej ingerencji w odpowiedni stosunek na terenie Niemiec, a tam przecież każde odwoływanie się państwa do obywateli i każdy współudział obywatela w działalności państwa na wewnątrz i na zewnątrz był przeciwny pojęciom humanistycznym, stanowiącym podstawę religii Chrystusowej, i wywoływał bunt. Obiektywnymi warunkami, hamującymi tę inicjatywę Kościoła, były przemoc i ewentualność prześladowań. To jednak tym bardziej odbiera Kościołowi prawo do podobnej inicjatywy na terenie Polski.

Tymczasem . . .

Tymczasem od początku istnienia nowego państwa polskiego stanowisko kościoła w tych kluczowych zagadnieniach państwowych jest albo niejasne albo niezupełnie słuszne. Nam katolikom, uznającym prawo przemian historycznych, sprawy te leżą mocno na sercu, uważamy bowiem, że zaangażowany w to wszystko autorytet Kościoła nie zawsze wychodzi obronną ręką. Widząc drogę i przyszłość Polski widzimy także właściwą w niej rolę Kościoła. Jest ona niewątpliwie wielka ale o tym na końcu.

Pewna, niemała część księży w Polsce uprawia działalność polityczną której ostatecznym celem jest podzielenie narodu na wiernych i niewiernych, katolików i komunistów. Ale przecież każdy, kto się tej działalności przyjrzy bliżej, stwierdza, z ubolewaniem, że nie chodzi tu bynajmniej o dzielenie według orientacji światopoglądowej, bo stało się to niemożliwe głównie dzięki temu, że do marksistowskiej PPR należy wielu katolików, często bardzo przywiązanych do hierarchii i praktykujących, że współpracują oni z „komunistycznym“ rządem, przyczyniając się do jego powodzeń w takiej kapitalnej dziedzinie jak odbudowa kraju, że w samym rządzie są katolicy, że wreszcie istnieją u nas grupy młodych katolików, wydające swe pisma nawet, które deklarując się jako prorządowe w najczystszym tego słowa znaczeniu, stoją twardo przy zasadach katolicyzmu i Kościoła. Jedno przecież nie wyklucza drugiego i tylko głupiec lub szkodnik narodowy bawi się w podobne alternatywy. Podziały, których dokonuje pewna część kleru, są niestety najczęściej fastrygowane przy pomocy orientacji politycznych, międzynarodowych. Anglofilstwo to nagminna choroba, z której wielu księży jeszcze się nie mogło wyleczyć, akcentując to, co gorsza, w swych kazaniach. Przykro jest o tym wspominać, kiedy się czyta równocześnie o anglofilskim kościele niemieckim, który nie potępiając wielu wciąż żywych form hitleryzmu w życiu i myśleniu narodu niemieckiego, napada w orędziach, czasopismach i przemówieniach na naród polski, burzy pokój, montowany z takim trudem i z taką ludzką niedoskonałością.

Drugą wadą naszych księży jest, jak mi się wydaje, brak kontaktu z czynnikami społecznymi, z akcjami społecznymi. Jest rzeczą konieczną, by tak jak dawniej niektórzy księża chodzili do karczmy ku chłopom, dziś udali się do świetlic, by tam porozmawiać z młodzieżą chłopską i robotniczą. Zachodzi konieczność współdziałania w dziedzinach wychowania bez względu na to, czy stosunek Kościoła do państwa dozna regulacji prawnej czy też nie. Chodzi o to, by pewna grupa księży, tracąc łączność ze społeczeństwem, nie oddalała go od Kościoła, z którym walki w Polsce nikt z Polaków sobie nie życzy. Rozpolitykowanie kleru na dobre Kościołowi nie wychodzi a skłonny jestem ujrzeć w nim trudno dostrzegalne horyzonty zdrady tych prawdziwych interesów chrystianizmu, które stanowią o jego sile i potrzebie.

Rozpolitykowani księża, wyodrębniając się ze społeczności katolickiej, wyodrębnić się mogą rychło ze społeczności narodu. Interesy Kościoła, widziane w promieniu aktualnej polityki międzynarodowej, mogą kolidować z interesami narodowymi. Służba kościelna może się stać łatwo służbą fałszywej idei politycznej.

Odczytany przed tygodniami po kościołach list Episkopatu polskiego był w obecnej sytuacji Kościoła w Polsce próbą źle pojętej aktywizacji. Próba nie mogła się udać, Kościołowi musiałą zaszkodzić. Aktywizacja odniosła niepożądany i być może nieprzywidziany nawet przez rodzime czynniki kościelne skutek; oto ludzie zupełnie nie związani z kościołem, niereligijni i znani nieraz ze swojej walki z Kościołem, wydzierali sobie z rąk odpis orędzia, widząc w nim nagłą zbieżność ze swoimi wstecznymi koncepcjami politycznymi, antyrządowymi, nie raz także antynarodowymi. W Polsce te siły zjednoczą się z każdą opozycją. Kościół aktywizując się politycznie, musi się z tym liczyć. Musi być przygotowany na klęski, może nawet na prześladowania, których w sytuacji dzisiejszej przeciwnicy polityczni nie mogą niedoznawać.

5 Uważamy jednak, że aktywizacja Kościoła w Polsce pojawić się winna w innych zgoła dziedzinach. **Stoją przed Kościołem w Polsce powojennej ogromne zadania naprawy i podniesienia moralności.** Proste słowa dekalogu: nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie cudzołóż, uczynione trzonem również i nowego systemu wychowawczego, niech płyną z ambon, niech stanowią treść rozmów księży z młodzieżą chłopską i robotniczą, z chłopem przy pługu i z robotnikiem przy maszynie. Udział Kościoła w państwowych instytucjach wychowania publicznego jak szkoła, organizacje, instytucje stanie się większy, jeśli zaistnieje pewność, że udzielone tam katedry nie zostaną wykorzystane dla celów z zasadniczą ideową konstrukcję katolicyzmu nie mające związków. Potrzeba współdziałania w tej dziedzinie jest ogromna a będzie to równocześnie współdziałanie w dziedzinie odbudowy kraju, odbudowy człowieka, stającego się centrum rzeczy tego świata po okresach panowania państw, jednostek mechanicznych, Kościołowi przeciwnych.

Pewna część księży w Polsce dobrze pojęła te nowe zadania Kościoła, odpowiadające nowym czasom, nie mogącym pogodzić się z próbami odnowienia jakiegoś kościelnego autokratyzmu. W tej działalności na polu odnowienia moralnego, łatwo także będzie dostrzec warunki, które umożliwia „harmonijne współżycie obu instytucji“, „współpracę obu władz“, Kościoła i rządu, czego życzą sobie postulaty konstytucyjne Episkopatu Polskiego, omawiane przez ks. Piwowarczyka w „Tygodniu Powszechnym“. Ale tym bardziej musi zaistnieć podział funkcji, tym mocniej świeccy katolicy a z nimi świadoma nowych zadań część kleru musi się domagać wyłączenia się Kościoła z aktualnej polityki, silnego związania się z aktualnymi zadaniami odbudowy i przyszłości, w której budowaniu według przyjętych dziś w narodzie naszym wzorów udział bierze już ogromna większość katolików polskich.

6 Nie dojdzie w społeczeństwie polskim do żadnych bratobójczych walk ani na tle ideowym ani politycznym. Siły pokoju mają również swój wielki i ważki wymiar krajowy. Kościół z natury swej ideologii może być ważnym czynnikiem zgody, jedności i pokoju. Nierozsądni słudzy Kościoła zatem, którzy stanowisk swych świadomie lub nieświadomie nad używają do propagandy politycznej, choćby tylko pasywnej, krytycystycznej (a wiadomo, że były wypadki jawnej propagandy partyjnej), muszą pamiątać, że mogą się znaleźć w sytuacji, w której stracą wyznawców. Jeśli już wiemy o istnieniu grupy księży demokratycznych, to znaczy, że proces ten został spowodowany postępowaniem niektórych władz Kościoła oraz stanowiskiem i rolą w Polsce dzisiejszej wielu katolików, i że proces ten może się rozwijać. Próba rozbicia społeczeństwa może przynieść rozbicie Kościoła. Interes katolicyzmu nie leży po tej lub po jednej stronie z osobna, leży po obu stronach jednakowo. Horyzont zgody leży na tej linii. W zgodę zaś zaangażowany jest autorytet moralny Kościoła, **który jest Kościołem Powszechnym.** **W. Szewczyk**

*) — Artykuł dyskusyjny

STEFAN SULIMA

Na tropach nienazwanych

UWAŻNIEJSZEGO czytelnika historii naszego stosunku do Pomorza Mazowieckiego, kreślonej zwykle na marginesie dziejów politycznych państwa krzyżackiego, a potem hohenzollernowskiego, gnębi poważna wątpliwość: czy to historia jest szczególnie w tym miejscu nieczytelna, czy też my nie umiemy jej czytać. Jest w niej jakieś niedomówienie, które raz po raz każe wzywać na pomoc wyobraźnię historyczną i przy jej pomocy wyrównywać... brak konkretności tych dziejów. Ile razy to czynię, już na wstępie widzę niezliczone szeregi obutych w łapcie nóg, kroczących uparcie na północ. W świtaniu dziejów zacierają się kontury tego pochodu, któreby pozwoliły ustalić w przybliżeniu nawet czas rozpoczęcia tych wędrówek. Tyle tylko wiadomo, że na północ kroczą ludzie, przypuszczalnie nieprzyjemnie pachnący dymem, zmieszanym z ostrą wonią potu, w obliczach pewnie zaciętych i ponurych, rozświetlonych zaledwie łagodnym wejrzeniem słowiańskich oczu.

Daremnie pytać dziejopisa, jaki to ptasi instynkt pierwotnego serca czy rozumu ciągnie ich nieutartym szlakiem, po którym błąkają się tylko najgenialniejsze w narodzie koncepcje polityczne, szlakiem jakgdyby pozahistorycznej, pokojowej ekspansji ku Bałtykowi.

Między wierszami wielkiej, oficjalnej historii czytamy mimochodem o Polakach w krainie dawnych Prusów.

Historia nie tłumaczy

jak i kiedy tam się dostali, za to o wiele więcej w niej mowy o chybionych próbach św. Wojciecha i Bruna, wplecionych w dalekosiężne plany Chrobrego i o niecierpliwych skokach Krzywoustego. Z nich ukuje, skromne coprawda, pomniki naszym czynom na Pomorzu Mazowieckim, gdy zapoznane pozostaną bezimienne sukcesy, owocniejsze niż dwa wieki politycznych i militarnych wyskoków.

W każdym razie w XIII w. wiemy już oficjalnie o polskości etnicznej ziemi chełmińskiej, którą Prusowie uważają za spolonizowaną, i silnych nasiekach polskich na ziemiach Pomezanów, gdzie nasze ślady wypierają pruskie, Gołędzian, Sasinów i wojowniczych Sudawów. Dobrodziejstwa cywilizacji noszą tam wyraźne i odwiecznie polskie piętno. Zagadnięty archeolog dorzucić może do tego odkrycia nieco stlałego żelaza, potłuczonych glinianych czerepów, poskręcanych fibul, rozsypanych kostek i paciorków. Nie pozostanie w tyle językoznawca. Z fragmentarycznych zapisów krzyżackich wyłowi mrowie polonizmów wrosłych w rdzeń staropruskiej mowy i niby szeroki wachlarz rozłoży przed czytelnikiem. Tyle niepowiązanych faktów wyłoni się z pod lupy badacza. Potem lupa powędruje w futerał i żadna synteza nie objaśni, dlaczego i po co polski prostaczek, sam prymitywny i ciemny, poszedł dźwigać jeszcze ciemniejszych i pierwotniejszych sąsiadów z nizin ich bytowania na pierwsze szczeble cywilizacji, w czasie gdy przed cywilizacją zwykł kroczyć normalnie krzyż, a przed krzyżem miecz. Historia nie wyjaśni nam skąd w tym nędznym, pewnie głodem wygnanym, karczowniku ostępów leśnych brała się dynamika cywilizatora i rzadki talent asymilowania drugich bez użycia gwałtu, nie podda nawet przypuszczalnych inspiratorów tego ruchu, co uderza tym bardziej, że samorzutny i ludowy pęd ku północy utrzyma się i wzmoże w ciągu następnych wieków i zmieni oblicze zagarniętego polską pracą szmatu ziemi. Półgębkiem wspomni historyk o epizodach: misji cysterskiej z Łekna, biskupie Chrystianie, Konradowym wojewodzie Krystynie. Będzie sugerował ich natchnienie w dziele kolonizacji południowych Prus, ale geneza i sens samego ruchu utonie w morzu militarno-politycznych szczegółów. Historyk zdradzi się z niemałą przenikliwością, odsłaniając plany najeźdźcze zakonu, wyśledzi nici krzyżackiej zdrady, na wyjaśnienie wszakże tajemnicy istnienia polskiej forpoczty w Prusach, zastanawiających zdobyczy cywilizatorskich i terenowych nie zwróci baczniejszej uwagi, podobnie jak na fakt, że do ostatnich czasów nie wiele się zmieniło w tym braku zainteresowań. A szkoda . . .

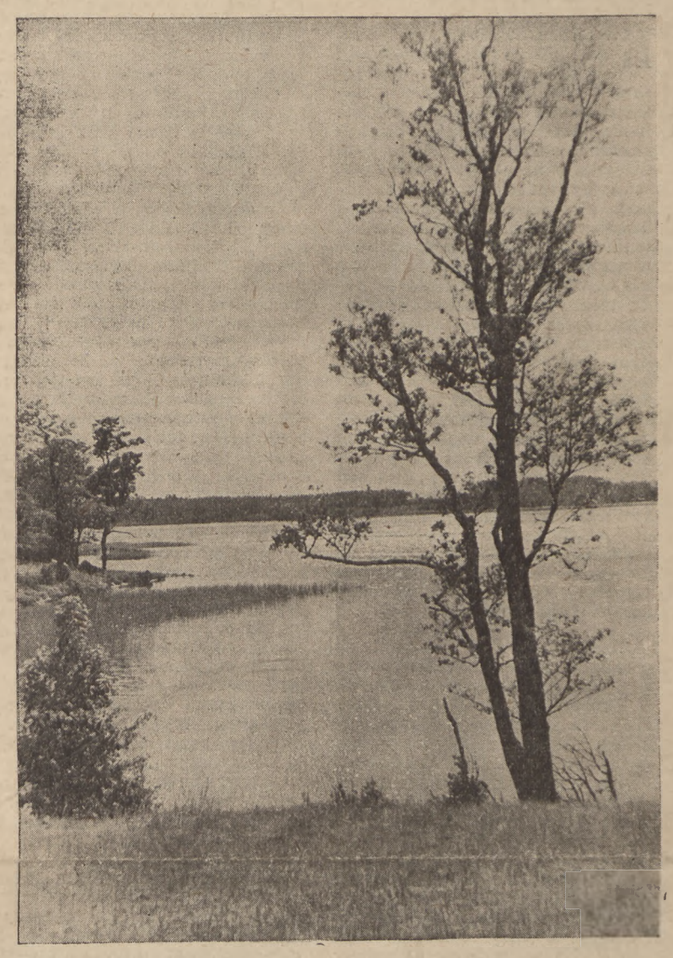

Widok na jezioro Biała w powiecie mrągowskim

Foto Drzewicki, Olsztyn.

Polskie sukcesy staną się bowiem podstawą krzyżackiego podboju. Pierwsze nadania Konrada obejmą właśnie ziemię chełmińską, najbardziej polską ze wszystkich ogarniętych polską kolonizacją. Przez jakąś tępotę Polski oficjalnej XIII w. obcy zużytkują nasz wysiłek osadniczy, tym ciekawszy że dokonany w przeddzień wielkiej kolonizacji niemieckiej na naszych ziemiach, najdziwniejszą z dyspozycji ekspansywnych narodu, najwytrwalsze z samorzutnych dążeń zbiorowych. Nie zareaguje na to ani współczesność ani potomność. Będziemy porażeni jakąś pruską ślepotą. Nie będziemy widzieć dość dokładnie ani straty, ani szansy, jaką długo jeszcze dawać nam będzie bezimienny dorobek. Tragiczny los zdradzonej forpoczty ludnościowej nie doczeka nigdy szczegółowej rozprawy politycznej, nawet poetyckiego eposu, nawet polskiej wersji baśni o Minotaurze, nawet cienia niewczesnego żalu. Mało kto się zorientuje w tej tragedii, nikt nie uczyni jej publiczną własnością.

Przez cały wiek XIV będziemy się szamotali z podchodzącą do gardła falą krzyżackiego odmętu, ale i to nie sprowadzi dostatecznego otrzeźwienia. Będziemy cierpieli, wpatrzeni w własne położenie, nikt nie pomyśli o cierpieniu żywiołu, który przetrwa bez oparcia w mackach, już wówczas totalitarnego, molocha — dopóki nie odwróci się karta. Gdy Jagiełło pójdzie pod Grunwald, nie wiadomo skąd Polaków w Prusach będzie kilkadziesiąt tysięcy. Ich liczebności nie złamie ani jałowa ziemia, ani fiskalna maszyna zakonu, ani masowa w XIV w. kolonizacja niemiecka. W jedno to stulecie ludność Prus wzrośnie o 140% dzięki germanizatorskim wysiłkom zakonnych panów. Ci ostatni wyposażą współrodaków w rozległe przywileje prawa chełmińskiego, z których nie skorzysta ani tuziemiec, ani Polak i korzyści z podziału na Niemców i nieniemców, w tym czasie usankcjonowanego.

„Podziwiać trzeba prężność i siłę żywiołu polskiego, który mimo przeszkód, bez poparcia państwa, wbrew obcym kolonistom poszedł, zdobył ziemię, uprawił ją i zatrzymał“ —

przyzna w. XX historyk (K. Górski), niestety nie rozwinie tego tematu w zarysie dziejów państwa krzyżackiego. Nie dowiemy się stąd nawet o ile to trwanie możnaby ukazać za czekanie na główne siły polskości, choćby nie całkiem świadome i czy ma słuszność badacz folkloru mazurskiego Karol Małłek, którego badania nad ludowością naprowadziły — jak twierdzi — na wyraźne ślady w baśniach i legendach ludowych współudziału polskiego chłopa w Prusiech w potrzebie grunwaldzkiej. Czy istotnie można uznać za pewne, że conajmniej przez gotowość przewodników mazurskich otrzymał król polski widomy dowód, co myślą mówiący po polsku ludzie, którzy w dzień bitwy obsiedli grunwaldzkie drzewa. Bo Małłkowi można wierzyć i nie. Zbiory jego pochłonęła wojna i trudno mu będzie udowodnić nawet na materiale folklorystycznym słuszność swego przekonania. Są wszakże źródła — już niepolskie — rzucające pośrednio światło na to, co uszło naszej własnej uwadze. W ubiegłym wieku odkrył Szajnocha w starej pruskiej kronice taką ciekawą notatkę o stanie umysłów w Prusiech w roku 1410:

„Wszystka szlachta i gmin i wszystkie miasta pruskie wdarły się do zamków zakonnych i poddały je królowi polskiemu i zaprzysięgły mu wszelkie poddaństwo i wierność wszelką. A jak ci szlachta, mieszczanie i gmin powstali na panów swoich, tak też sprzeniewierzyli im się biskupi, prałaci, zakonnicy, zakonnice, ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak nagła zmiana serc w całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładu w żadnym kraju“.

Zostawmy historykowi analizę i wykład tego ustępu oraz ocenę, która z wymienionych warstw społecznych zaważyła najsilniej w „nagłej zmianie serc“. Przypuszczalnie nie będzie nią nawet „gmin“, bo możliwości jego w ustroju feudalnym były niewielkie. Nam wystarczy, że mimo utrzymania hierarchii stanów, w notatce podkreślona została wyraźnie oddalona inicjatywa żywiołowego procesu odwracania się poddanych, głównie niepolskich, od zakonu, oraz jako jedni z współautorów wymieniona warstwa społeczna zwana gminem.

Konsekwencje tęsknot ludowych

trzeba śledzić też między wierszami historii.

Zapisała ona dokładnie mściwą furię Henryka v. Plauen w stosunku do zdrajców mieszczańskich i rycerskich. O warstwie chłopskiej wiemy tylko pośrednio, że dotknięta została przez zastosowaną po raz pierwszy nobilitację awanturniczych żywiołów żołnierskich, którym ziemią i swobodą ucisku zapłacono za usługi w czasie przegranej wojny. Im przypadło w udziale zadanie pomnożenia srogości czasów, szczególnie zajadłych w średniowieczu wobec najniższego gatunku człowieka — plebejusza. Ileż przez to boleśniej musiał odczuć miejscowy Polak i spokrewniony z nim duchowo Prus koszmar niszczycielskich wojen, jakie raz po razu wnosiła w granice zakonne Polska. Jedna z nich zasłynęła jako głodowa. Mało tego, rozbity zakon z dziwną pasją zabrał się po Grunwaldzie do ujarzmie-

(Ciąg dalszy na stronie 2)

Co robią Niemcy

Ucieczka Plieviera do Monachium — „Ach, dlaczego proroku uczyniłeś ten krok nierozważny"

NA brak sensacji nie mogą się uskarżać obserwatorzy niemieckiego życia literackiego. Niedawno informowałem o kilku takich sensacyjnych wydarzeniach, do których należał między innymi pojedynek słowny Plievier contra gen. Pickert. Plievier, autor „Stalingradu", jest także bohaterem nowej sensacji. Właściwie rzecz jest małej wagi i w warunkach normalnych nigdy by na nią w Niemczech nie zwrócono uwagi. Oto pisarz ten zmienił miejsce zamieszkania, z Weimaru przeniósł się do Monachium. Ale wobec granic politycznych, przecinających Niemcy, wobec rzeczywistego podzielenia Niemiec na dwie części, zachodnią i wschodnią, taka podróż z Weimaru do Monachium ma swoje znaczenie polityczne, jest rozumiana jako sensacja polityczna. Właściwe światło na to, jak się ją rozumie w Niemczech, rzuca list otwarty do Plieviera, napisany przez jednego z żołnierzy biorących udział w kampanii rosyjskiej, ogłoszony w piśmie południowoniemieckim „Die Epoche".

*

KORESPONDENT „Die Epoche" pisze tak: „Że odważył się pan napisać ową wstrząsającą książkę „ecce homo" Stalingradu nie z własnego przekonania, lecz w służbie pewnego państwa, przekonuje nas o tym ucieczka pana z tego właśnie państwa, by oddać się w służbę innego i napisać być może inną książkę o Rosji, w innym oświetleniu podającą tamte sprawy, książkę w rodzaju „Na wschodzie nic nowego"? Lub też należy panu teraz na spokojnym wygodnym życiu na kapitalistycznym zachodzie, dzięki sumom uzyskanym z potężnego nakładu pana książki?" Do słów tych należy dodać, że niedawno Plievier zmuszony był zdemontować rozpuszczoną w prasie wiadomość, jakoby przez cały czas pobytu w Rosji t. zn. przez 11 lat „grał komedię". Dziś po przeniesieniu się Plieviera do Monachium najlepsi przyjaciele jego na łamach pism berlińskich musieli przyznać, że postępowanie pisarza nie jest wyraźne, że musiało wywołać dwuznaczne komentarze.

*

CAŁA ta historia ma jeszcze jeden interesujący aspekt. Pozwoliła ona zauważyć nam, jak czyta się dzisiaj w Niemczech książki, — inaczej głębiej, uczciwiej niż kiedykolwiek. We wspomnianym liście ogłoszonym przez „Die Epoche" korespondent wyraził obawę, czy książka Plieviera „Stalingrad" jest naprawdę odbiciem jego własnego losu, życiem kształtowanym według prawideł sztuki, za jaką ją dotąd uważał, czy też samą literaturą, fantazją za jaką zmuszony jest uważać ją po ucieczce Plieviera do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. „Czy możemy jeszcze wierzyć naszemu pisarzowi?" — pyta się korespondent. Prawdą jest według niego nie zwykłą prawdą faktów, ale prawdą wewnętrzną pisarza, prawdą wiary w przedstawiony przezeń obraz, w własną fantazję, w własne przeżycie. Z tymi słowami równocześnie wkraczamy w definicję sztuki, literatury, jakiej domaga się współczesny czytelnik niemiecki. Nie powinno w niej chodzić zatem o prosty realizm faktów, ale o realizm przeżycia i wiary.

*

HERBERT Ihering z okazji opuszczenia przez Plieviera strefy okupacyjnej sowieckiej pisze na łamach „Berliner Zeitung" o odpowiedzialności pisarza. Stwierdza on, że powojenny czytelnik niemiecki przez głębsze i uczciwsze podejście do książki uzyskuje takie prawo do dzieła pisarza, że staje się ono cząstką jego własnej istoty, a zakłócenia atmosfery, którą dzieło wytwarza, odczuwa tak boleśnie, jakby zostały zwrócone przeciwko niemu samemu. W tym świetle zmiana mieszkania dokonana przez Plieviera na linii Weimar — Monachium posiada znaczenie publiczne. „Nieprzemyślana ta akcja... pozbawia czytelnika gruntu pod nogami, samo dzieło zaś odwartościowuje, pozbawiając je zaufania. Że sztuka dozna je u nas znowu takiego przyjęcia, dalekiego od pięknoduchostwa i iluzjonistycznego otumanienia, cieszymy się z tego napawani słuszną nadzieją, że znajdzie ona tym samym znowu właściwe miejsce wśród nas. Fakt ten jednak podnosi odpowiedzialność pisarza za dzieło wysoko, ponad samą postawę literacką, do znaczenia ogólnoludzkiego."

*

PLIEVIER według tych głosów, które bezpośrednio po jego ucieczce padły, zdyskwalifikował moralnie całą swoją dotychczasową twórczość. Miała ona być sumieniem narodu a stała się literaturą, mniej lub więcej sensacyjną politycznie rozrywką. Ocena jest surowa. Rzuca jednak ciekawe światło na powojenną rzeczywistość literacką w Niemczech. W Monachium żyje i działa także Erich Kaestner, którego postawa polityczna zawsze była antyfaszystowska, pacyfistyczna, lewicowa. Po wojnie Kaestner gorzko rozpisywał się na temat stosunków kulturalnych i politycznych w strefie sowieckiej, godząc swoją postawę ideową z wrzaskiem, wzniecającym drugą wojnę na łamach południowoniemieckiej prasy, z kapitalistyczną inwazją na życie gospodarcze tam tej części Niemiec. O Kaestnerze nikt dotąd jeszcze nie napisał, że poprzednio „grał komedię". Była by to oczywista nieprawda. Teraz staje obok niego w tymże samym Monachium Theodor Plievier, którego ten zarzut spotkał. Na październikowym, pierwszym po wojnie kongresie pisarzy niemieckich, odbytym w Berlinie, sędziwa Ricarda Huch w słowie wstępnym dała wyraz swej radości, że kongres zjednoczył przy wspólnym stole obrad pisarzy z wszystkich części Niemiec, ze wszystkich stref okupacyjnych. Atoli zaledwie przebrzmiały echa kongresu, Plievier, jeden z „nieugiętych", zburzył radość sędziwej pisarki.

*

NIEWĄTPLIWIE zrozumienia dla tego rodzaju wydarzeń należałoby szukać w polityce nej rzeczywistości Niemiec powojennych. Życie mierzone jest tutaj miarami dwóch prawd, głoszonych równie żarliwie i przekonywająco. Również i w zachodnich strefach pojawiają się głosy na temat odpowiedzialności pisarza, z punktu widzenia tej odpowiedzialności ocenia się tam pozytywnie ucieczkę Plieviera. Czytelnik niemiecki z trudem wybiera między obu sprzecznymi prawdami, pozostaje mu Schadenfreude. W jednym natomiast pisma marksistowskie mają niewątpliwą słuszność, mianowicie w tym, że decyzja Plieviera rzeczywiście burzy atmosferę wiary i szczerości, wytworzoną przez jego książki, że nastąpiła w momencie nieodpowiednim, w którym każdy taki krok pogłębia nieufność jednej strefy do drugiej a czynnikom reakcyjnym służy jako codzienna ożywcza papka. Przypominają się tu słowa Schillera: „Ach, dlaczego proroku uczyniłeś ten krok nierozważny? Czyżby cię pociągnęły te same drzewa, które w tamtym kraju rosną? Słysze teraz, idąc drogą, którą odszedłeś, twój śmiech, który boli". Może niezupełnie stosuje się to do Plieviera, który jak dotąd na temat swej ucieczki jeszcze się nie wypowiedział, ale refleksja ma swoje prawa.

WISZ.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

Pod znakiem Anioła Ślązaka

OBOK imienia Jakuba Boehmego, Saint Martina i Baadera powiązało się ściśle z pewnym okresem życia i twórczości Mickiewicza imię Anioła Ślązaka (Angelus Silesius) i z tego wyłącznie powodu zainteresowało badaczy literatury polskiej. Umieścił je poeta na czele zbioru wierszy gnomicznych wydanych w r. 1836 w tomie VIII „Poezji" pt. „Zdania i uwagi z dzieł Jakuba Bema, Anioła Ślązaka (Angelus Silesius) i Saint-Martina.

Źródła niektórych „Zdań i uwag" odszukał w zbiorze Ślązaka pt. „Cherubinischer Wandersmann" Wilhelm Bruchnalski w trzecim tomie „Pamiętnika Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza" (Lwów 1889), niezawsze jednak szczęśliwie wiązał polską parafrazę z niemieckim oryginałem, na co już uwagę zwrócił, co sprostował i nowymi paraletami marginesowo uzupełnił Stanisław Pigoń w rozprawie „Zdania i uwagi" (zamieszczonej w zbiorze „Wśród Twórców", Kraków 1947). W związku z badaniami nad twórczością Mickiewicza chciało by się znaleźć odpowiedź na dwa pytania, które nasunąć się muszą; jedno z nich dotyczy czasu reakcji „Zdań i uwag" — drugie zaś genezy zainteresowania Mickiewicza mistykiem śląskim. Zagadnienie pierwsze próbował rozwiązać prof. Pigoń, a uprzytomniwszy trudności w dokładniejszym oznaczeniu daty powstania dystychów mickiewiczowskich, wykreślił domniemaną najwcześniejszą ich datę początkową na rok 1833. Otóż do tej sprawy wrócić jeszcze wypadnie po przyjrzeniu się zagadnieniu drugiemu. W ustalaniu okresu, w którym Mickiewicz zapoznał się z teorią trzech w nagłówku „Zdań i uwag" wymienionych pisarzy, najdokładniej da się oznaczyć czas poznania teorii Saint Martina — przypada on na lata pobytu w Rosji. Źródłem informacji był wtedy uczeń Saint Martina, mistyk i malarz Józef Oleszkiewicz; on to wtajemniczył Mickiewicza w niektóre kwestie martynizmu. Ale od niego też najprawdopodobniej zasłyszał Mickiewicz nazwisko Boehmego, a to dlatego, że Saint Martin sam z mistyka niemieckiego czerpał, na niego się powoływał, a także główne jego dzieło pt. „Aurora oder die Morgenröte im Aufgang" w roku 1800 na język francuski przetłumaczył („L'aurore naissante ou racine de la philosophie, de L'astrologie et de la theologie" Paris, an IX). Nie może więc ulegać wątpliwości, że drogę do Boehmego ukazał Mickiewiczowi pośrednio czy bezpośrednio „filozof nieznany" — Saint Martin. Atmosfera rosyjska w okresie pobytu Mickiewicza w Moskwie sprzyjała również zainteresowaniom mistycyzmem, od czasów bowiem wojen z. Napoleonem znacznie ożywiło się życie religijne, prądy mistyczne ogarniające wtedy Rosję były nie tylko potrzebą serca, ale też wymaganiem mody, chętnie przyjmowała je arystokracja rosyjska, w której to salonach za lat parę miał się znaleźć poeta, intelektualistów rosyjskich zaciekawiały problematy mistyki i masoneria, a na łamach organu mistyków „Sjonskawo Wiestnika" przewijały się w latach 1817 — 18 nazwiska tych pisarzy religijnych, w których wnet zacznie się Mickiewicz rozczytywać, Dionizego (pseudo) Areopagity, Boehmego, Saint Martina. Czyli, można stanowczo twierdzić, że pierwszy i najsilniejszy impuls do zajęcia się w niedalekiej przyszłości tymi pisarzami dał Mickiewiczowi pobyt w Rosji.

Jakże przedstawia się sprawa z Aniołem Ślązakiem? Jest rzeczą niewątpliwą, że zajęcia się nim nie można wiązać z czasami rosyjskimi. Mistykom rosyjskim pierwszych dwudziestu lat XIX wieku imię to było najzupełniej obce, co znów zadziwić nie może z tego powodu, że obcym było ono wtedy jeszcze w kraju Silesiusa w Niemczech. Oto po okresie żywego rezonansu, jaki poezja i dzieła polemiczne Anioła Ślązaka zbudziły w w. XVII, wiek następny, XVIII, przyniósł całkowite o nim zapomnienie i jedyny, dziwny wyjątek stanowiło niespodziewane zamieszczenie 53 jego pieśni w śpiewniku z r. 1741 wydanym w Halli przez Freylinghausena. Dopiero na początku XIX wieku wydobyli w Niemczech z zapomnienia jego imię Fryderyk Schlegel i Franciszek Horn, dostrzegłszy w utworach jego wysoką kulturę literacką i oni to pierwsi oraz Hegel zwrócili na niego uwagę niemieckiej inteligencji. Mianowicie Horn w swej historii literatury niemieckiej „Die Poesie u. Beredsamkeit der Deutschen von Luthers Zeit bis zur Gegenwart" (Berlin 1822 tom I) z entuzjazmem mówił o poecie, którego pisma „przez wiek cały przeleżały w pyle katolickich bibliotek klasztornych", Hegel zaś w „Estetyce" (tom I) uznał w nim świetny typ mistyka, który z odwagą i głębią umiał wypowiedzieć „podmiotowe istnienie Boga w rzeczach i zjednoczenie jaźń z Bogiem i Boga z ludzkim subiektem".

Od tych czasów datuje się stale wzrastające zainteresowanie twórczością Angelusa Silesiusa, a punkt kulminacyjny przypadnie na lata 1922 — 1927 tj. na czasy związane z 250 rocznicą jego śmierci.

Dla naszego zagadnienia atoli najważniejsze jest wydarzenie z roku 1829 tj. z roku pierwszego pobytu Mickiewicza w Niemczech: W tym bowiem roku wyszło z druku w Sulzbach bardzo staranne wydanie poezyj gnomicznych Anioła Ślązaka, sporządzone bardzo starannie przez niepodpisanego wydawcę, a oparte na wcześniejszym wydaniu z r. 1701 tzw. wydaniu Arnolda. Tytuł jego brzmiał „Johannis Angeli Silesii **Cherubinischer Wandersmann oder Geistreiche Sinn- und Schlussreime,** zur göttlichen Beschaulichkeit anleitende. Neue nach der editio princeps und der Arnoldschen Ausgabe besorgte Auflage. Sulzbach 1829". Otóż wydaje się, że było to wydanie, które miał w rękach Mickiewicz, z którego zapoznał się z jego poezjami i na podstawie którego sporządzał swoje parafrazy. Przed rokiem bowiem 1836 tj. przed rokiem ogłoszenia mickiewiczowskich „Zdań i uwag" pojawił się obok wydania sulcbachowskiego gnomicznych wierszy Anioła Ślązaka, również osobny wybór jego poezyj i pism Martina w języku niemieckim, wydany w Berlinie w r. 1833, ale jak stwierdził A. Zipper w IV tomie „Pamiętnika Twa Literackiego im. A. Mickiewicza" (Lwów 1890) ten wybór pt. „Angelus Silesius und Saint-Martin" nie był stanowczo Mickiewiczowi znanym. Przyjąć więc można, że tylko egzemplarz z r. 1829 albo w tym jeszcze roku, albo też za powtórnym pobytem poety w Niemczech w r. 1832 trafił do jego rąk.

Argumentem potwierdzającym tę hipotezę jest fakt, że Mickiewicz ograniczą się jedynie do przekładu aforyzmów z „Cherubinowego Pielgrzyma" tj. właśnie tego dzieła, które w r. 1829 wydano w Sulzbach; brak natomiast śladów znajomości innych utworów Anioła Ślązaka, mianowicie jego pieśni i poematów religijnych.

Pierwsze objawy renesansu Angelusa Silesiusa w literaturze niemieckiej ówczesnej mogły sprawić, że Mickiewicz — tak stale z ciekawością śledzący życie literackie Europy — po jego świeżo wydaną książkę sięgnął, od roku zaś 1830 coraz bardziej zdecydowany zwrot Mickiewicza do katolicyzmu rozstrzygnął ostatecznie o jego entuzjazmie w stosunku do tego wybitnego mistyka katolickiego; dopiero w dalszym etapie jął się on lektury pism nie katolickich — protestanta Boehmego i teozofa Saint Martina. (W Rosji poznał ich teorię tylko z ustnych relacji Oleszkiewicza). Trzeba też zauważyć, że formę dystychu dla wyrażenia pewnej refleksji i pewnego stanu uczuciowego przejął Mickiewicz od Anioła Ślązaka, z upodobaniem stosujących ją w zbiorze „Der Cherubinische Wandersmann", liczącym przeszło półtora tysiąca takich dystychów. Dla swej zwięzłości i sugestywności ta forma przemówiła silnie do Mickiewicza, gdy więc w czasie lektury wydobywał ze zbioru mistyka śląskiego sentencje, które w duszy jego budziły silniejszy oddźwięk, gdy je dla siebie utrwalić zapragnął, wtedy uderzał w ton Ślązaka i formę jego poetycką przybrał. Wszedłszy zaś raz w nałóg ujmowania aforyzmów i sentencyj moralnych w taki sposób, tę właśnie formę później nadawał także tym refleksjom, które z długich i nieraz wcale zawiłych zdań prozaicznych Boehmego i Saint Martina wyjmował. Angelus Silesius zatem podał mu formę dystychu, formę „Zdań i uwag" i zachęcił go, nakłonił do zamykania w nią myśli i uwag, a dopiero po podjęciu przekładów z Silesiusa zdecydował się Mickiewicz na poetyckie parafazy niektórych myśli innych pisarzy. A wreszcie fakt, że Mickiewicz poddał się wpływom Anioła Ślązaka dowodzi, że w dziele jego znalazł treść odpowiadającą własnej treści psychicznej, tęsknotom, doświadczeniom i poznaniom, oraz że znalazł to, co wiek XVI nazwałby „obrokiem duchowym".

Duchem i formą analogiczne aforyzmy z tymi, które znajdują się w „Zdaniach i uwagach" odnalazł prof. Pigoń w „Panu Tadeuszu" i najsłuszniej wnioskował, że „pisząc Pana Tadeusza, miał już poeta najwyraźniej pociąg do tego rodzaju ujęć, do formy dystychu", że „forma ta zapadła w duszę poecie". Na tej to podstawie termin opracowania „Zdań i uwag" Pigoń przenosi na lata 1833—1834.

Jednakże tendencje do tworzenia aforyzmów o zabarwieniu religijnym, moralnym i profetystycznym jawią się u Mickiewicza po raz pierwszy w roku 1832, w „Dziadów" cz. III i w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego". Niektóre z nich pod względem formy mają charakter taki sam, jak „Zdania i uwagi", niektóre są odmienne, są bardziej majestatyczne i bardziej muzykalne. W każdym razie taki aforystyczny charakter ma wspaniałe oratorium Aniołów i Archaniołów, zamykając II scenę „Dziadów" np.

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu aniołów sług Swych obaczył,
Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył:
Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za nimi codzień mędrców rozumy.

Albo odmienne formą, ale identycznie pojęte jako aforyzm — słowa:

Pan maluczkim objawia,
Czego wielkim odmawia.
Krzyż, w złoto oprawiony
Zdobi królów korony,
Na piersi mędrców błyszczy jak zorze. —
A w duszę wnijść nie może.

Albo z „Prologu" dystych o charakterze profetystycznym, uderzający najdokładniej w ton aforyzmów „Zdań i uwag":

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie;
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

Wystarczy zestawić dowolnie wybrany dwuwiersz „Zdań i uwag", aby o tożsamości tonu przekonać się:

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześć nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.
Krzyż, wbity na Golgocie, tego nie wybawi,
Kto sam na sercu swoim krzyża nie wystawi.

Tendencja do tworzenia aforyzmów trwa nadal pod koniec roku 1832 i objawia się w „Księgach", będących zbiorem aforyzmów ujętych w formę stylizowaną na wersetach biblijnych, objawia się potem w okresie pisania „Pana Tadeusza", a ostatnim jej wyrazem są w roku 1836 wydane „Zdania i uwagi" — ostatnim w chronologii wydań, ale bodaj czy nie pierwszym w chronologii genetycznej.

Tak więc nasunąć się musi przypuszczenie, że najpóźniej w r. 1832 Mickiewicz „Cherubinowego pielgrzyma" już znał i jego wpływowi ulegał i już wtedy zaczął tłumaczyć poszczególne aforyzmy.

Teraz zadaniem dalszym staje się ustalenie stosunku tłumaczeń Mickiewicza do dystychów Anioła Ślązaka z „Cherubinowego pielgrzyma".

Stanisław Kolbuszewski

Konkurs
na utwór sceniczny

Zarząd miasta Opola ogłosił konkurs na sztukę sceniczną (utwór całospektaklowy), której treść byłaby związana z przeszłością lub teraźniejszością Opola. Dzieje tego miasta są kopalnią tematów, zupełnie nietkniętych w naszej literaturze. Inicjatorzy konkursu pragną zwrócić na nie uwagę polskich autorów dramatycznych i zachęcić ich do przeorania ugoru Ziem Odzyskanych. Nagroda wynosi 100.000 złotych. Nagrodzoną sztuka wystawiona będzie jako prapremiera w Teatrze Ziemi Opolskiej już dnia 1 maja 1948 r.

Utwory opatrzone godłem wraz z nazwiskiem i adresem autora w zaklejonej kopercie nadsyłać należy do sekretaria tu Teatru Ziemi Opolskiej w Opolu, ul. Traugutta 1, do dn. 28 lutego 1948 r. Sztuki ogłoszone poprzednio drukiem, bądź wystawione już gdzie indziej, nie będą dopuszczone do konkursu.

Na tropach

Rynek w Olsztynie. Foto Drzewicki, Olsztyn.

(Ciąg dalszy ze strony 1)

nia swej głównej bazy ludnościowej.

„Na przełomie XIV i XV w. — powiada Kętrzyński — a szczególnie w latach 1427, 1428 zakon wydaje surowe przepisy, że ani Prusakom ani Prusaczkom nie wolno służyć w miastach, wsiach i karczmach niemieckich, nie wolno im nabywać niemieckiej ziemi, nie wolno również uczyć Prusaka jakiegokolwiek rzemiosła... W taki sposób odebrano Prusakom możność życia i rozwoju i skazano ich na śmierć powolną, ale niechybną".

Nie należy się sugerować słowem „Prusacy". Na drabinie społecznej, w obliczu prawa, a pewnie i z aspiracji, Prusak był w oczach Niemców podobną Polakowi niższą odmianą człowieka. Tyle że Prusaków było cztery razy więcej.

W historii naszej okres pogrunwaldzki Prus Krzyżackich jest wspaniałą kartą niemieckich miast i rycerstwa. Związek jaszczurczy i rozpaczliwa nienawiść poddanych przeciw zakonowi — nienawiść warstw historycznych — przysłaniają nam zupełnie rolę polskiego elementu. Fakt jednak, że przywódcy „jaszczurkowców" noszą w tym czasie spolonizowane nazwiska i ciążą całą siłą pragnień do Krakowa. Zapewne pod wpływami li tylko podbitego Pomorza i półtorawiekowych zmagań Polski z krzyżackim delirium. Cóż, kiedy anachroniczne analogie mącą prostą genezę tego zjawiska. Podróżując z początkiem XIX w. po Prusach — niestety tylko Królewskich — J. U. Niemcewicz zadziwił się mocno w Sztumie widząc, jak miejscowe Niemczury, choć to już od pół wieku ustały żywe stosunki Powiśla z Rzecząpospolitą, nie mogły się inaczej porozumieć z miejscowym chłopem, jak tylko po polsku. Skąd inąd wiemy, że nie była to tylko powiślańska osobliwość. Mało to rodzin niemieckich polszczyło się na Mazurach, albo i Warmii w morzu polskiego chłopstwa? Chyba można suponować, że żywioł polski, który już w XVI w. (gdy ludność kraju spadła o połowę) rozlał się bezprzykładnie, polonizując masy Prusaków i otwierając drogę do Prus polskiej większej posiadłości, zapisał i przedtem na swe konto jakiś udział w budzeniu atrakcyjności polskiego imienia i rewolucyjnych wstrząsów w przededniu wojny 13-letniej.

Badacze mazurskiego folkloru, jak wspomniany K. Małłek, starają się dorzucić argument na poparcie hipotezy, że lud polski z upragnieniem wydzierał się do polskiego władztwa. Pono w wigilię wojny król Jagiellończyk przyjął na Wawelu delegację chłopów mazurskich, a ci błagając o wybawienie, mieli wygłosić jakąś mowę. Do ostatniej wojny istniał pono apokryf ludowy, który przekazał o co i jak błagali króla wydziedziczeni rodacy. I apokryf padł pastwą zniszczenia wraz ze zbiorami Małłka. Znów jednak obojętne, czy była to legendarna parafraza oracji „jaszczurkowców", czy wstrząsających rewelacji Bażyńskich. Najdziwniejsze, że te okruchy zamazanej przeszłości wyławiało się w XX w. wśród grupy etnicznej jeszcze polskiej z języka, poza tym narodowo skrajnie zaniedbanej i zbałamuconej.

„Całe Prusy i Pomorze — cytuję za St. Tarnowskim — *nie warte tyle krwi chrześcijańskiej i skarbów tyle"* — miał rzec w kilkanaście lat po wysłuchaniu delegacji mazurskiej Kazimierz Jagiellończyk, gdy mu przedstawiono ponury bilans kosztów wojny 13-letniej. Po jednej stronie krzyżackiej padło 70.000 żołnierza, którego dostarczało zwykle 10 łanów niemieckich, a nierzadko zaledwie 1 pruski lub polski. 3000 wsi i cały dobytek rolnika, cała kultura rolna poszły wniwecz. Nie wyliczono ofiar prostego ludu, a starto go z powierzchni ziemi około 200.000 osób. Kronikarze zaznaczyli tylko, że liczba ludności Prus Krzyżackich spadła po wojnie poniżej stanu, jaki zastali Krzyżacy w XIII w. Do tego 114 beczek złota wycisnął w gotówce tylko wielki mistrz z kraju. Sam kraj, finansując wojnę, dał pewnie drugie tyle królowi, by go wybawił z ostatecznej toni.

Istotnie ślepota pruska musiała być potężna, skoro ani król, ani społeczeństwo szlacheckie, które na trzy pokolenia przed wojną kokoszą, urządziło rokosz pod Chojnicami, widzieli własne i cudze straty, a nie dostrzegli ofiary, złożonej Polsce za prawo do zezespolenia. Przecież dopiero reforma wojska i bezprzykładna pomoc Prus uratowały dla Polski drugi pokój toruński. Tu nam brakło rozeznania sytuacji i dobrej woli.

Porównanie naszego i niemieckiego upragnienia pruskiej ziemi od najwcześniejszych początków napawa wstydem. To nie tylko wyższość mordercy, zdrajcy i okrutnika triumfowała nad prawością polskich dążeń, Smętek nad sielskim Słowianinem. W zwycięstwach niemieckiej racji stanu w Prusach więcej było przewag jasnego spojrzenia, trzeźwego rozumu i nieubłaganej woli nad beztroską ślepotą polskich centrów myśli politycznej, od królów i książąt począwszy na społeczeństwie skończywszy.

Już w XIV w. zakon zdaje się kierować wyraźnym planem w stosunku do zakusów nieoficjalnej polskości w Prusach, a główne myśli tego planu do ostatnich dni III Rzeszy nie tracą na aktualności.

Napór kolonizacji niemieckiej

nie przypadkiem chyba nasila się na linii Wisły i w wielkim łuku wybrzeża nad Zalewem Fryskim. Zakon starannie zakreśla zaczarowany żywy krąg osadnictwa, którego w żadnej ostateczności nie powinna przekroczyć niemiecka noga. Dopiero od tych baz odrywają się cieńsze strumyki zalewu ludnościowego i wartkim biegiem opuszczają się na południe, zagarniając co najurodzajniejsze ziemie. Po prostu niesposób oprzeć się sugestii, że ma to ukryty sens. Od południa przez piachy i bory prze trudniejszym torem, niewspierana przez Polskę oficjalną, żywiołowa kolonizacja. Szło chyba najwyraźniej o to, by na granicy lepszych gleb zderzyła się z silniejszym prawnie, ekonomicznie i politycznie Niemcem i wyładowała w daremnej walce, wykonawszy wprzód dla obcych panów najczarniejszą robotę osadniczą. Po nasyceniu kraju człowiekiem zakon nie pominie żadnej sposobności, aby wraz z ludnością pruską spauperyzować i ścieśnić w możliwościach życiowych także Polaków.

Nawet po straszliwej wojnie 13-letniej, tej samej, która sprawiła, że Ludwik v. Ehrlichhausen ze łzami w oczach opuścił na zawsze Malbork i w Królewcu musiał od nowa kłaść fundamenty pod nowe jutro zakonu, w zupełnie innych niż dotąd okolicznościach, nie zapomniano po tamtej stronie o utrzymaniu w karbach miejscowej polskości i prusactwa. Pewnie zgnębieni klęską, ale nie złamani, panowie zakonni wiedzieli, że wyludnione obszary ich państwa, niby próżnia powietrze, chłonąć będą osadnictwo polskie, a to podmywać — resztki panowania niemieckiego, którymi pogardził król polski. Po drugim pokoju toruńskim zakon wraca do wypróbowanych po Grunwaldzie metod krępowania niewygodnych elementów prusko-polskich. Wszelkie obieżyświaty i niebieskie ptaki wojennego rzemiosła, drugorzędni kondotierzy o sercach rzezimieszków i rabusiów — podpora armii zakonnej w czasie wojny — otrzymują nadania szlacheckie i nadziały ziemi dla wyegzekwowania zaległych żołdów. Skumani z polskością, dawna szlachta i rycerstwo, mimo wszelkich amnestii i obietnic łaski, ustępują z pola, aby mogła je zastąpić *„nowa arystokracja (która) bogaci się przede wszystkim kosztem chłopa i drobnego posiadacza wolnego, owego rycerza pruskiego, który przetrwał i misję zbrojną i powstania pruskie..."* (K. Górski)

A co my przeciwstawiamy konsekwencji zakonu? Zaledwie Warmia doczekała po wojnie upragnionego dobrodziejstwa polskich rządów. Ale jakże żałosny jest bilans naszych osiągnięć, poza złagodzeniem losu miejscowej ludności. Już w XV w. lud polski z Mazowsza, Pomorza i Kujaw próbuje sięgać po ziemię w granicach biskupiego lenna. Jest coś dziwnego w tym naporze, który korzysta z każdej chwili słabości elementu niemieckiego i każdej polskiej szansy zaczepienia się na tej ziemi. Niestety nawet pod okiem polskich wojewodów a potem biskupów ruch tej nie znajduje protekcji. Polska dość rychło dostrzeże tron licbarski i niemieckiego purpurata — zaporę na drodze do godności dla polskich kandydatów. Przewalczy opór miejscowego separatyzmu i uzyska prawo obsadzania katedry warmińskiej. Wyślemy na Warmię istną śmietankę naszej inteligencji duchownej i to nie raz. Noblesse będzie obowiązywać przez trzy wieki. Za to o podstawach ludnościowych polskiego panowania decydować będzie do końca przypadek: wojny i zarazy oraz obawa przed protestantyzmem. Żadna inna myśl, prócz chęci łatania wypadłych dziur, nie zaświta nam w głowie, nawet gdy Albrecht spostrzeże się, że nie stać go na mechaniczne powstrzymywanie żywiołu polskiego i osądzi, że lepiej będzie jego dynamikę kolonizatorską sprowadzić we własne koryto, a przez to wystawić mur obcości psychicznej między Polską a jej forpocztą, samą zaś forpocztę zdyskredytować w oczach współrodaków zza miedzy. Za cenę widowiska krakowskiego 1525 r. oddamy tak ważny węzeł duchowego pokrewieństwa z polskością pruską: wspólność wyznania i w chwili dla nas decydującej przetniemy własnymi rękami dopływ polskiego chłopa do Prus, gniazda herezji i odstępstwa.

„Ci sami Polacy — zauważy W. Sobieski — *którzy własnymi rękami usypali ze swą szkodą, przeciw sobie wał, tj. zakon krzyżacki, odgradzający ich od morza, podobnież znowu teraz sami utwierdzali Hohenzollernów w Królewcu, pełni optymizmu i wiary w ludzką wdzięczność i możliwość „kolaboracji"... stała się rzecz niebywała: król polski — katolik — otoczył opieką i bronił niejako sprotestantyzowania Mazurów"* — dodajmy przeciw cesarzowi niemieckiemu z jednej, papieżowi z drugiej, a interesowi własnego państwa z trzeciej strony. Tak doszło do tego, że na królewieckim zamku zamiast zakonnej załopotała chorągiew książęca, a

„Na niej skrzydła roztaczał
czarny orzeł śmiały,
Niosąc w sercu zwycięscy wielkiego znak mały" —

DRAHOSLAV GAWRECKI

Stara jabłoń

Ogień, podsycony wielką nienawiścią, rozprzestrzenił się jak zaraza i płonął już z naszych najboleśniejszych ran. Zaledwie buchnął gwałtownie do okien, ze wszystkich wrót wypadła chciwa śmierć. Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia, a już gorzała cała wieś, zapaliła się od pierworodnego, już tysiąc razy skruchą odkupionego grzechu czyjejś biednej duszy. Aż dopiero gdy na koniec ogień zapalił w samej koronie starą jabłoń, orędowniczkę naszych dróg i naszego błądzenia, pokonany jej łzami — zgasł. Jabłoń płakała. Nie bardzo. W korzeniach była mocna i dzielna. Opamiętała się za nas wszystkich. A kiedy było najsmutniej, gdy potem niosła całe brzemię naszego krzyża i gdy do kikutów jej starych rąk przykuto powrozy z włosów wisielców, zastygłe we krwi i poszarpane ranami zwłoki młodzieńców, dzieci, które jeszcze nie tak dawno obejmowały ją, kiedyśmy przy niej sami spazmatycznie i rozpaczliwie płakali, wtedy była dla nas czymś więcej niż topole i jesiony i brzozy tego samego losu, była dla nas wszystkim.

Już po owej wielkiej pożodze coś niedosłyszalnego mówiło mi stale, że wszystko stracone, że wypalona wieś już nie odżyje, że gruzy murów, kościoła i wyziębłych chlewów są tylko grobami i tylko będą jako schronienie, jako sidła i jako nadzieja łupu przywoływać czarne wrony, kruki i krzykliwe sroki.

Wiedziałem podświadomie, że to dawne rozdroże naszego nieszczęścia uśmierci także ją, wierną strażniczkę.

A przecież nic nie zrobiłem. Nie wziąłem jej w swoje puste ramiona, choć nas wszystkich sama najgoręcej obejmowała, nie przesadziłem jej do ziemi ocalonej, do ziemi wróconej, która się przed nami otwierała. Z litości. Ze zmartwienia. Z trwogi, by mi nie umarła po drodze, żeby nie przyjęła nowej ziemi, a ziemia — jej starej i pomarszczonej pamiętnicy. W sercu odczuwałem, jakoby była związana z naszymi drogami i losami, które błądziły, zanim udaliśmy się na zachód. Jakoby sama była losem tych gorzkich i przejmujących czasów, które nas uczyły cierpieć i bronić się jak najwaleczniej. Wydawało mi się, że będzie najlepiej iść tak bez wszystkiego, z gołymi rękoma i mówić sercu: ty milcz i zdobywaj stracony świat i zwróć swą nieustępliwą twarz i pierś na granicę, na Odrę i na Nysę, trzymaj straż.

I co tutaj z nią zrobić, myślałem, nie, nie myślałem — nic nie uczyniłem.

A dzisiaj jest już za późno.

Zabił ją ostatni ustępujący czołg.

Zabił, ściął.

Nie ustąpiła ze swojej ziemi.

Nie ustąpiła. Jak mogła bezbronna ustąpić?

Była natychmiast martwa.

Oh, gdybym ją był wziął ze sobą, mogłem wziąć i jej ziemię, mogłem widzieć, jak zrasta się z nią, albo jak chorzeje i mogłem — dzisiaj już silny i wiedzący — pocieszać ją, spłacając dług za słabość i pociechę, mogłem... mogłem... Nie mogę!

Ona zdaje się nie płakała.

Ja płaczę.

Za granicą mego współczującego smutku i mego niezdecydowania, na południowej stronie śląskiego ogrodu, kwitną i dojrzewają czeskie jabłka.

Z czeskiego przełożył
Aleksander Widera.

nienazwanych

jak to z ironią widoczną lepiej po wiekach określił Kochanowski. Niemcy wiedzieli od dawna, czym grozi ich panowaniu niewinny na pozór prostak polski. Myśmy łudzili się, że „zwycięzcy wielkiego znak mały" może być czymkolwiek innym jak ościeniem w sercu czarnego orła. Obok siebie samych, nie wiadomo po raz który, zdradzaliśmy przeznaczoną ziemię, a z nią krew własnej krwi i kość własnej kości.

To przecież osłupiające, jak naszą zatwardziałość odpłacała nam nieustannym wykuwaniem atutów na wypadek, gdybyśmy przypadkiem przejrzeli. Wieki XVI i XVII są świadkami bezprzykładnego zjawiska. Skoro oficjalna Polska nie umiała zebrać owoców drugiego pokoju toruńskiego i załamania zakonu „teutońskiego", wyręcza ją *summa cum laude* wydziedziczona masa pruskich Polaków, choć

„wprowadzenie reformacji do Prus w ciągu lat kilkunastu, a co najwyżej dwudziestu, zahamowało zupełnie dopływ nowych osadników z Mazowsza Polskiego" (K. Górski).

Od czasu Albrechta tylko biologiczny dynamizm polskiego kolonisty pokieruje wypadkami. A przecież Prusy Albrechta tętnią polskością tak silnie, że dysydenci polscy najpoważniej w świecie upatrują w nich wzorca dla przyszłej Polski, urządzanej już na ich modłę. Polski ruch umysłowy w Królewcu czy Ełku nie ustępuje centrom krajowym, oświata ludowa sącząca się przez kanaliki druków protestanckich wyprzedza analogie krajowe. O dwieście kilometrów od Warszawy poczyna dojrzewać gotowy owoc, po który przez długi czas dość będzie wyciągnąć rękę. Ale w tym czasie Polska będzie się uganiała za celami politycznymi nad Morzem Czarnym, odległymi o 1.000 km, gdzie baza ludnościowa dla naszych zabiegów będzie prawie żadna.

„Żywioł polski tak dalece rozszerzył się po całych Prusach Wschodnich, że mianowicie w 17 i 18 w. cały kraj, o ile nie był już czysto polskim, przepełniony był ludźmi polskimi, których jako mieszczan, rolników i czeladź wszędzie spotkać można było po wioskach lub miasteczkach, lub którzy jako obywatele ziemscy trzymali w swym ręku liczne dobra rozrzucone w stronach niemieckich i litewskich" — stwierdza W. Kętrzyński, a K. Górski dodaje

„nie ma zakątka Prus dokądby (ludność polska) nie dotarła (nawet do okręgu kłajpedzkiego), wnosząc wszędzie swoje niewidoczne może, ale istotne pierwiastki rasowe."

„W 17 w. — uzupełni znów Kętrzyński — *Prusy Książęce, pomimo rządu niemieckiego, były bardziej polskie aniżeli niemieckie."*

Foto Drzewicki, Olsztyn.

Osiedle rybackie w powiecie reszelskim.

Zalew polski

dosięgnie nawet Królewca, gdzie w czasie „potopu" obserwatorzy szwedzcy i francuscy zauważą z podziwem, że mieszczanie „publicznie modlili się za króla polskiego, aby Najwyższy Bóg zechciał mu użyczyć zwycięstwa nad jego i ich wrogami", do których — mimo wspólnego wyznania — zaliczał się też kurfirst, startujący w tym czasie do niezawisłości.

Niemieccy mieszkańcy Świętomiejsca, opodal Braniewa, zaalarmują wówczas rodaków o nasilającym się napływie Polaków w okolice, gdzie jak pamięć sięga, nie docierała polska noga.

Do schyłku XVII w. ustrój Prus pod naporem ludności upodobni się znacznie do polskiego.

Historyk ówczesny K. Hartknoch, patrząc na potęgę polskiego żywiołu, będzie suponował słowiańskie pochodzenie dawnych Prusów, a ich język uważał za pokrewny polskiemu.

W Polsce tylko jeden trzeźwiejszy umysł dojrzy perspektywy bałtycko-pruskie, bez żadnego zresztą praktycznego rezultatu. Starosta pucki Kazimierz Zawadzki gorąco będzie doradzał królowi Janowi, by wzorem Ludwika XIV zlikwidował wreszcie lenno pruskie, jak tamten lotaryńskie.

Ale polska rzeczywistość pójdzie swym tragicznym torem, bez opamiętania. Chłop, szlachta, nawet mieszczanie królewieccy pozostaną w duchu „dobrymi Polakami", o czym nie omieszka donieść dyplomata francuski swemu dworowi. My będziemy doskonale obojętni na w opinii drugorzędną na pewno kwestię. Tym, którym marzyła się ojczyzna, wyślemy Gosiewskiego z Tatarami, wielbiciele polskich wolności porażą tragedie Rotha i Kalksteina.

Elektorzy brandenburscy, in spe królowie „in Preussen", jako wyraziciele niemieckiego interesu w tej części Europy, postarają się starym zwyczajem ubiec automatyczne, „drugorzędne" rozwiązanie. Gdy tylko najazd szwedzki 1655 r. nastręczy realną sposobność, wezmą się z całą pasją do rozładowywania beczki prochu, jaką polskie marzycielstwo poddanych ustawiło im pod tronem. Z jedną szansą na sto polskich panowie zakonni zaczynali po Toruniu odbudowę państwa niemieckiego w Prusach, z biegiem czasu udało im się doprowadzić do tego, że „dzieje Mazurów pruskich (nie stały się) dziejami politycznymi, a (pozostały) w całej pełni historią społeczną" (K. Górski).

Już Wielki Elektor, Fryderyk Wilhelm, poczuje się na siłach, by podważać zdobycze polskiego pługa. Nie zaufa wspólnemu wyznaniu z ludnością, ani przeżartej polskimi tęsknotami miejscowej niemczyźnie. Na odcinku ludnościowym ukaże nowe drogi swoim następcom. Fanatyczni protestanci i sekciarze, uchodzący przed prześladowaniami: Niemcy, Szwajcarzy, francuscy hugenoci i polscy socynianie dostarczą pożądanej domieszki do własnych kadr obywatelskich. Polska jak zwykle pomoże zburzyć nieco polskich złudzeń na najtrudniejszych południowych obszarach, zarazy liczne i zażarte boje wesprą zbożne dzieło.

Koronacja „króla in Preussen" stanowi tylko

kolejny etap.

Wielki podoficer na tronie, Fryderyk Wilhelm I, pozwoli już sobie na teoretyzowanie kwestii obywatelskiej w duchu swego czasu. Urzędnik dla niego, to tylko sprawne narzędzie absolutyzmu królewskiego, poddany, to serce pruskie, nie „nawpół polskie, nawpół pruskie", jak było w rzeczywistości. Znów istnienie żywiołu polskiego stanie w poprzek planom stworzenia jeszcze jednych „Prus", takich z niemieckiej koncepcji. Ale król będzie już górą. Zreformuje administrację, urzędnicy z zachodnich posiadłości będą fruwali jak piórka do wschodnich i odwrotnie, aby można było skutecznie walczyć ze zmorą „nawpół polskich serc". Metodą tej walki będzie wypróbowana jeszcze w krzyżackich czasach — wymiana ludności. Wszelkiego autoramentu rodacy królewscy, wszelkiej konfesji protestanci zastaną szeroko otwarte granice „państwa bojaźni bożej". Gdy braknie ochotników, posiadłości hohenzollernowskie dostarczą przymusowych kandydatów do szczytnej roli odwiecznych kolonizatorów niemieckich. Jeden najwyższy „Befehl" będzie obowiązywał biurokrację Fryderyka Wilhelma: „pod karą chłosty„ nawet śmierci — żadnych Polaków, jedynie Niemców".

Na barkach żywiołu polskiego przetrwało państwo hohenzollernowskie XVI i XVII wiek, w XVIII wreszcie mógł sobie król „in Preussen" pozwolić na zakąz osiedlania Polaków na tzw. Pruskiej Litwie, niebawem oczka w głowie i dźwigni nowego państwa. Mało mu było 100.000 Niemców, jakie sprowadził w czasie swego panowania. „Ile tylko można, trzeba posyłać niemieckich ludzi na Litwę — szły rozkazy do Niemiec — tym więcej, że król na Litwie i w okręgach polskich usuwa lichych (!) gospodarzy i obraca ich w pasterzy i komorników". Z pogardą będzie mówił król o ucieczkach „lichego" elementu polskiego na polską Warmię, gdzie bp. Potocki przygarnie niejednego uciekiniera. W gruncie rzeczy nie będzie mu na rękę, że ludność polska, uchodząc tylko w minimalnym procencie, nie ułatwi mu zadania odpolszczania kraju.

Proces ten postąpi coraz dalej w wieku XIX i XX i stworzy podstawy systemów antypolskich, które znamy już lepiej z odpowiedniej literatury prusoznawczej. Już po rozbiorach dokona się preparacja polskiego chłopa do wytrzebienia w nim wszelkiego poczucia polskiego pochodzenia. Przebiegnie ona przez proletaryzację w drodze reform rolnych, leśnych i wodnych, przez głodowe puchliny i tyfusy, które w końcu wypędzą 1/3 ludności polskiej na „Saksy" i „Westfale" do rodzącego się przemysłu. Historia oficjalna, która dość wiele uwagi poświęci losom szlachty polskiej w Prusach, zauważy, że po r. 1815 system pruski wytępił polskie ziemiaństwo i uzna to za otworzenie bram germanizacji i powód dla którego w przyszłości walki narodowościowej w Prusach na wzór poznański, śląski czy pomorski być nie mogło. Ujdzie jej uwagi równie gwałtowna, choć dłużej *wypracowywana*, pauperyzacja chłopa i jeszcze tragiczniejszy upadek tej warstwy społecznej, na której niebawem zaciąży piętno niepokojącej, zrezygnowanej bierności i beznadziejności, które za naszej pamięci zostaną przypisane... Smętkowi. Jeszcze w czasie wojen napoleońskich zawadiacka piosenka zdradzi nastroje polskiej ludności wiejskiej w Prusach. Przytoczy ją po latach W. Kętrzyński:

„Słychać, że dobra będzie, jak
Francuzi wygrają:
Pobiją Niemców wszędzie, bo za
ludem trzymają.
My też ich zobaczymy, w tych
nadzieja nasza,
Prusaków bić pomożemy, mamy
pałki u pasa!"

Tegoroczną włóczęgę pomorsko-mazowiecką po tropach tzw. kwestii autochtonicznej rozpoczynam od historiozoficznych wstępów, którym może daleko do akademickiej ścisłości i nieskazitelności. Już w ubiegłym roku odczułem wielki brak w mym przygotowaniu teoretycznym: zbyt skromną znajomość faktów, ciążących na psychice tzw. autochtona, a nałożonych nie niemiecką, „smętkową" ręką, ale naszą własną. Uderzający był też brak konkretu w obserwacjach ludzi, którzy z tytułu swego dłuższego pobytu na dawnej ziemi pruskiej winni byli orientować się nieco lepiej w sprawie, stanowiącej do niedawna nasz główny, obok geopolitycznego, tytuł do walki o polską przyszłość Pomorza Mazowieckiego. Patrzono na nią zbyt naiwnie, bez perspektywy historycznej i twórczej pasji, sennym spojrzeniem obojętnych ludzi. Zaledwie tuziemczy działacze starali się wstrząsnąć zainteresowanym przybyszem, ale czynili to tak gwałtownie i z takim pośpiechem że i ich wysiłki nie naprowadziły na właściwy trop. Sumarycznie biorąc przedstawiciele napływowego społeczeństwa, a więc wyraziciele szerszej opinii narodowej, dzielili się na dwa odłamy: pesymistów i optymistów. Ci pierwsi liczniejsi biadali nad ślepotą władz, że tolerują pod pokrywką polskości zarazę niemiecką, reprezentowaną przez „autochtonów", ci drudzy odwrotnie ubolewali nad skutkami działalności szkodników społecznych i wzdychali do normalizacji stosunków, co automatycznie, bez ich wysiłku, zmieniłoby sytuację na naszą korzyść. Jedni i drudzy szukali win poza sobą i stąd konieczność historycznego spojrzenia na kwestię „autochtoniczną" i nasz stosunek do niej w czasie dłuższym niż dwa i pół roku polskiego panowania na Pomorzu Mazowieckim. W opinii społecznej nie wyzwoliła się jeszcze właściwa dyspozycja, któraby pozwoliła przełamać fatalny bezwład psychiczny, jaki zdradzamy wobec tej ziemi i wypracować realne podstawy całkowitego, nie tylko gospodarczego zasymilowania jej przez nasz organizm państwowy i narodowy.

W wędrówce mej postanowiłem pamiętać tym razem nie o Niemcach, ale o drobnym i oderwanym fakcie. Szukając opracowania dziejów kolonizacji polskiej w Prusach, natrafiłem na jeden właściwie artykuł naukowy, obejmujący w dodatku czasy od 1525 do 1772 r. Zasłużony jego autor K. Górski, tylekroć tu cytowany, w bibliografii przedmiotu zacytował ok. 30 prac, z tego tylko 4 wyszłe spod pióra Polaków. 3 z nich napisali „autochtoni", W. Kętrzyński i Sieniawski, przed 70 laty, jedna zaledwie była współczesna. Pod tym kątem widzenia wartoby też spojrzeć na „kwestię autochtoniczną" i próbować śledzić reakcje budzące się w zetknięciu z jej tragiczną wymową.

Stefan Sulima

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Spokój

Różowy chłód po kłosach nadszedł
i chat czerepy obił pluszem.
Świerk ze szyszkami sennych ptasząt
w zmierzchu wyprany obłok suszy.

Pośród ogrodów, grubo, na dłoń
kopr gorzki zapach swój roztoczył.
Na płot czeszący się o jabłoń
spadł śpiew przecięty błyskiem kosy.

Łąka wśród świerszczy, zimna w cieniu
gdy stąpasz — dzwoni jak mosiężna.
Pastuszek z rosą na ramieniu
batem wygania z lasu księżyc.

ALEKSANDER ROGALSKI

CZĘŚĆ IV

Grzechy główne

W ubiegłym roku opublikowały szwajcarskie „Baseler Nachrichten" pt. „Religijne odrodzenie Niemiec" korespondencję „United Press" ze strefy brytyjskiej: „Dziesiątki tysięcy Niemców wypełniają uszkodzone przez naloty kościoły od Kilonii do Kolonii tak, jak w innych częściach świata wypełnione są w niedzielę kina. Jest to niewątpliwie drugie największe religijne odrodzenie, jakie Europa od czasów Lutra przeżyła. Można stwierdzić z całkowitą słusznością, że religia obok głodu jest największą siłą dzisiejszych Niemiec". Korespondent odwiedził szereg kościołów po miastach oraz małych miejscowościach i wszędzie zauważył, że kościoły były pełne ludzi już na dwadzieścia minut przed rozpoczęciem nabożeństw. Ze statystyki zebranej przez jednego z oficerów brytyjskich wynika, że w brytyjskiej strefie okupacyjnej na trzech ludzi jeden chodzi do kościoła. We Westfalii tygodniowo odwiedza kościoły 6.400.000 ludzi. W samym Hamburgu natomiast 820.000. Brak niestety materiału porównawczego z okresu przedwojennego. Źródła tego niezwykłego odrodzenia religijnego w Niemczech korespondent dopatruje się przede wszystkim w akcji Kościoła na odcinku organizacji młodzieżowych. W całej brytyjskiej strefie okupacyjnej (z wyjątkiem sektoru berlińskiego) statystyka wykazuje 6.266 grup młodzieżowych. Z liczby tej 4.551 podlega wpływowi Kościoła. W ramach denazyfikacji władze wojskowe alianckie odrzuciły zaledwie 2% duchownych oraz urzędników kościelnych. Ta społeczna rehabilitacja Kościoła sprawiła, — zdaniem korespondenta — że dla tysięcy Niemców ksiądz katolicki jest jedynym, który podczas wojny jak i obecnie zachował swoją postawę. Wreszcie źródła aktywizacji życia katolickiego w Niemczech tkwią w stale wzrastającej i pogłębiającej się wspólnocie katolickiej. Korespondent podkreśla, że Międzysojusznicza Rada Kontrolna docenia w całej pełni znaczenie odrodzenia religijnego w Niemczech.

To samo stwierdza, i to szczególnie w odniesieniu do protestantyzmu, Werner Koch we „Frankfurter Hefte" (czerwiec 1947). Pisze on m. in.: „Kościół ewangelicki znajduje się w początkach drugiej reformacji. Nie tylko w Niemczech, ale w Niemczech przede wszystkim, ponieważ stąd ruch ten wyszedł i to przed więcej niż przed 10 laty. Była to nowa teologia, która znowu ukazywała wartość wyjątkowego faktu „Objawienia" albo „Słowa Bożego". Dlatego też nazywano tę teologię „teologią Objawienia" albo „teologią Słowa". Jej najbardziej znanym przedstawicielem i właściwym twórcą był i jest Karl Barth. Po raz pierwszy znalazła teologia katolicka od czasów Reformacji partnera dyskusji, który staje się coraz bardziej poważny. Ruch ten rozpoczął się przed Trzecią Rzeszą, mimo Trzeciej Rzeszy nabrał na sile i w żadnym wypadku dzisiaj nie stanął w miejscu. Przeciwnie!"

Siła chrystianizmu jest powszechnie przez partie polityczne uznawana i we wszystkich rozważaniach publicznych stanowi punkt wyjścia, jeśli chodzi o duchową odbudowę narodu niemieckiego. Wobec tego warto przyjrzeć się publicznie sformułowanym przyczynom tego faktu.

Organ magistratu berlińskiego „Berliner Zeitung" z dn. 10. 1. 46 w artykule pt. „Religion als soziale Aufgabe" ujawniał podstawowe przesłanki myślenia niemieckiego na ten temat. Oto zasadnicze zdania i myśli zawarte w tym artykule:

„Ongiś nazwano gazetę kazalnicą. Biskupi i generalni superintendenci, niżsi duchowni, a także i laicy, posługują się chętnie dziennikami, celem inicjowania i podtrzymywania dyskusji religijnych. Od biskupa Kettelera pochodzi zdanie, że gdyby św. Paweł znowu wrócił na ziemię, to byłby na pewno korespondentem prasowym. Od momentu załamania się Niemiec w ub. r. napisano już wiele w sprawie niemieckiej na temat religii, chrystianizmu i Kościoła. Wprawdzie religia jest zbyt poważnym tematem dla prasy codziennej, ale równocześnie stanowi ona tak ważny składnik życia społecznego, że nie można go z prasy wyrugować. Zainteresowanie sprawami religijnymi nie ma oczywiście nic wspólnego z kokieterią religii. To by zmniejszyło wartość uczuć religijnych. Ponieważ jednak religia stała się — jak się zdaje — modą szerokich kół, trzeba jej poświęcić dużo uwagi w prasie codziennej. Czołowi duchowni stają wobec zjawiska „cudownego przyrostu" wiernych. Jest rzeczą znaną w historii, że zjawisko takie występuje w momencie wielkiej katastrofy, kiedy ludzie pozbawieni zostaną wewnętrznych hamulców. W takiej sytuacji religia jest jedyną kotwicą ratunkową. Oczywiście tysiące wracają w takich chwilach do religii i do Kościoła, a setki tysięcy stają przed otwartymi drzwiami kościelnymi i nie mogą się zdecydować na przestąpienie progu. Pewien Jezuita wyraził się niedawno w czasie akademickiej mszy św.: „Nie przykładajmy żadnej wartości do tych mas. Przeważnie masy te nie są jeszcze prawdziwymi chrześcijanami". Prawdziwa religijność musi być przeżyta, przepracowana i głęboko zrozumiana. Od takiej siły religii zależy także siła nerwów człowieka. Od św. Augustyna pochodzi zdanie: „Wielu z tych, którym się zdaje, że są w kościele znajduje się w rzeczywistości poza kościołem. A bardzo liczni, którym się wydaje, że są poza kościołem, znajdują się w rzeczywistości w kościele". W prasie niemieckiej rzuca się obecnie często pytania: kto jest chrześcijaninem, czy w ogóle są jeszcze chrześcijanie, na czym polega isto ta chrystianizmu? Na pytania te nie padła jeszcze jednolita odpowiedź ze strony Kościołów chrześcijańskich, to też i my nie możemy jeszcze udzielić wystarczającej odpowiedzi. Nic dziwnego, że w obliczu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, wielu z nas pyta głosem przytłumionym: „Chryste, gdzie byłeś tak długo?" Głos ten ma ton na wpół oskarżający. Rozbrzmiewa też inne pytanie: „Czy my jesteśmy chrześcijanami?" I w odpowiedzi pada zdanie: „Jesteśmy wszystkim innym, tylko nie chrześcijanami". Nie naszą jest rzeczą wkraczać w wewnętrzne sprawy kościelne. Zasługuje jednak na uwagę taki fakt, że na zebraniu chrześcijańskich polityków ktoś zwraca się do duchownego z pytaniem: „Ja nie rozumiem, co pan uważa za chrystianizm, ja to pojmuję inaczej". Taki fakt pozwala przypuszczać, że niektórzy chrześcijanie mają blade pojęcie o duchu Pisma Św. Rozbieżności te rysują się zwłaszcza na tle społecznego chrystianizmu. Nie są one nowe. Znane jest wszak zdanie Neumana: „Czy chcecie wiedzieć co to jest Kościół? To jest coś więcej, niż cała mądrość profesorska". Chrystianizm podaje sobie ręce z socjalizmem. Rodzi się chrystianizm czynu" — kończy swój artykuł „Berliner Zeitung".

Organ „Chrześcijańsko Demokratycznej Unii" wychodzący w Berlinie „Neue Zeit" z dnia 11. 1. 46 r. w artykule pt. „Grosse Aufgaben der Kirche" stara się dotrzeć do istotnych podstaw historycznych nawrotu do religijności w Niemczech. W artykule tym wyrażone jest głębokie przekonanie, że tylko chrystianizm może objąć głębię historycznych związków przyczynowych i tylko stanowcze wkroczenie woli boskiej w życie człowieka może wytyczać właściwe drogi rozwojowe historii. W historii można odczytać niezmienne prawa boskie. Kluczem do odgadnięcia tych niezmiennych praw jest Pismo Św., a zwłaszcza księgi Starego Testamentu. Przykład proroka Jeremiasza jest szczególnie pouczający. Jest rzeczą znamienną, że pewien chrześcijanin, który niedawno wrócił z długiej niewoli, musiał opowiadać o swoich towarzyszach obozowych, że zachowywali się w taki sposób, jakby posłannictwo Chrystusowe nigdy do nich nie docierało. Nic dziwnego, że w takich okresach historii przypada Kościołowi rola decydująca. Spadają na niego wielkie i ważne obowiązki. Dzisiaj, gdy pęta hitlerowskie opadły z Kościołów niemieckich, tym bardziej odpowiedzialna jest ich rola. Kościoły muszą się odbudować we właściwym duchu. Kościoły w Niemczech stoją dopiero na początku swej drogi, którą mają przebyć. Czekają je wielkie zadania we wszystkich dziedzinach życia. Ale Kościoły nie stoją same. Chrystianizm nie był światu nigdy bardziej potrzebny, niż w chwili obecnej. Na zjeździe przedstawicieli Kościołów ewangelickich wszyscy wyrazili przekonanie, że chrystianizm pozostał jedyną nadzieją ludzkości.

Jak wynika z tych streszczeń, żaden artykuł nie precyzuje pojęcia chrystianizmu. Jest to świadoma akcja w kierunku zacierania różnic między Kościołem katolickim a protestantyzmem. Szczególnym wyrazem tej tendencji jest artykuł pt. „Brücken zur Verständigung", zamieszczony w „Berliner Zeitung" w numerze z 26. 1. 46. Punktem wyjścia tego artykułu jest sprawozdanie z rozmów odbytych na zebraniach przedstawicieli różnych wyznań w Berlinie. Jeden z uczestników oświadczył: „Moim zdaniem jest porozumienie i zaufanie". Chciał on przez to powiedzieć, że bardzo często między ludźmi wykształconymi i politykami spotyka się nieporozumienia wyznaniowe, wywołane brakiem osobistych kontaktów i spowodowaną tym niemożliwością osobistego wzajemnego poznawania się. Przy bliższym poznaniu zdarza się często, że okrzyczany komunista czy klerykał okazuje znacznie więcej inteligencji i humanitaryzmu, niż można się było tego po nim spodziewać na podstawie znajomości „ze słyszenia". Zadaniem wszystkich uczciwie myślących Niemców jest dążenie do ścisłego porozumienia obozów przedzielonych różnicami światopoglądowymi.

W organie Kościoła ewangelickiego „Die Kirche" (nr 8/46) ewangelicki biskup Berlina dr Dibelius w artykule pt. „Die Brücke" pisze z zadowoleniem o przemówieniu nadburmistrza Marburga dr Siebecke, działacza socjalistycznego. Oświadczył on na kongresie socjalistycznym, że jego partia zawsze żądała oddzielenia Kościoła od państwa, i że taki jest również pogląd większości gmin ewangelickich. Od stuleci rzucano agitacyjne hasło, że chrystianizm i socjalizm są kolumnami nowego ładu. W dziele teologa dr Lortza pt. „Reformation in Deutschland" poddano gruntownej rewizji początki protestantyzmu w w. XVI. Zaczyna się okres rewizjonizmu. Docent we Fryburgu dr Max Mueller w pracy pt. „Das christliche Menschenbild und die Weltanschauungen der Neuzeit" wykazuje już te przemiany. Praca ta jest rozszerzeniem jego wykładu wygłoszonego przed kilku laty dla studentów katolickich. Obecnie wyszła ona w cyklu „Das christliche Deutschland 1933—45". W cyklu tym można się również dopatrzyć „mostów" w kierunku porozumienia wewnętrznego w granicach chrystianizmu. Dr Max Mueller za jeden z ważniejszych pomostów uważa humanizm.

Warto wreszcie jeszcze zacytować artykuł organu partii socjalistycznej w Badenii i Wirtembergii „Das Volk" (12. 2. 47) pt. „Staat und Kirche". Czytamy tam m. in.: „W łasce Kościoła i w łasce Boga uczestniczyć może każdy człowiek, obojętnie, czy będzie on komunistą, socjalistą, lub członkiem ruchu chrześcijańsko-socjalnego. Można być jako chrześcijanin obrońcą własności prywatnej, jak Chrześcijańsko-socjalna partia ludowa i również dobrze można reprezentować program socjalistyczny, którego domaga się w zakresie gospodarczym i ustroju socjalnego Partia Socjal-Demokratyczna... Zmiana w kierunku nowego widzenia rzeczy i pozytywnej postawy względem religii jest widoczna dzisiaj również w ruchu socjalistycznym".

W zestawieniu tych kilku głosów niemieckiej opinii politycznej mających stanowić odpowiedź na pytanie, czy nawrót do religijności w Niemczech jest przelotną modą, czy też wynikiem głębszych przemian duchowych — można sformułować pogląd nie dający jeszcze w tej chwili stanowczej odpowiedzi. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że **decydującą** przesłanką w tej odpowiedzi jest troska **o przyszłość narodu niemieckiego.** Ta właśnie troska nakazuje Niemcom związać losy swoje z chrystianizmem.

Aleksander Rogalski

Budzicielka duszy mazurskiej

Są w życiu każdego człowieka chwile głęboko przeżyte, które decydują nieraz o linii postępowania na całe życie. Takim przeżyciem była dla wielu działaczy plebiscytowych na Mazurach nasza przegrana, która zadecydowała o potrzebie dalszej walki o ziemie, które nam się słusznie należały. Dla Emilii Sukertowej była głębokim przeżyciem klęska plebiscytowa. Należała ona do tego grona ludzi wtajemniczonych, którzy zdawali sobie sprawę z ogromu zadań, jakie czekały na Mazurach, którzy zdrowo oceniali sytuację zdając sobie sprawę z nieuniknionej przegranej. Jeśli jednak trwali i walczyli pomimo to, to nie z myślą o zwycięstwie, lecz z myślą o uratowaniu prestiżu Polski w oczach błądzącej ludności autochtonicznej. Sukertowa choć nie wierzyła w zwycięstwo plebiscytowe, oddała się sprawie mazurskiej bez reszty. Wiedziała, że nadejdzie chwila, gdy lud mazurski znajdzie się wraz ze swą ziemią rodzinną w całości w granicach Polski. Były to chwile naprawdę ciężkie. Jej kontakty i ścisła współpraca z wybitnymi działaczami polskimi tamtejszego terenu w okresie plebiscytu obfituje w wydarzenia, które naprawdę nie zachęcały do wytrwania na odpowiedzialnej placówce. W otoczeniu Sukertowej przetrwali i inni. Pełna prostoty postać Mirosława Lejka, przewodniczącego Związku Mazurów, syna zasłużonego kaznodziei gromadkarskiego Bogumiła, bohaterska postać Jana Jagiełki-Jaegiertala, ściętego toporem w berlińskim Moabicie podczas ostatniej wojny — oto krąg najbliższych jej współpracowników.

W okresie międzywojennym ośrodkiem promieniowania aż poza kordon graniczny staje się Działdowo. Już w lecie 1921 roku organizuje Emilia Sukertowa w tym zakątku warmińsko - mazurskim pierwszą wystawę sztuki polskiej oraz zdobywa pieniądze na kupno budynku, który później otrzymuje nazwę „Domu Mazurskiego".

W r. 1922 zaczyna wychodzić stałe pismo pt. „Gazeta Mazurska", gdzie Sukertowa piastuje stanowisko sekretarza redakcji, zaś w rok potem obejmuje tekę redaktora naczelnego. W tym też roku wychodzi pierwszy tomik „Kalendarza dla Mazurów", z którego ludność mieszkająca za kordonem może dowiedzieć się prawdy o Polsce. W jego to sprawach Sukertowa udaje się za kordon graniczny. Wyprawa ta kończy się jednak aresztowaniem, a dopiero interwencja polskiej placówki dyplomatycznej przywraca wolność wybitnej działaczce. Sukertowa wraca do Działdowa i po roku wydaje i ulepsza „Kalendarz". Nie ogranicza się tylko do pracy wydawniczej. Daje się poznać jako wybitny wychowawca młodzieży. Organizuje przy pomocy czynników oświatowych kursy gospodarcze dla młodzieży żeńskiej, którą ściąga zarówno z dolnego Powiśla jak i z terenów

Emilia Sukertowa-Biedrawina

warmińsko-mazurskich. Kursy te przekształcą się z czasem w szkołę rolniczą w Działdowie, z której wyszły całe zastępy młodzieży autochtonicznej. Dalszą zasługą Sukertowej było stworzenie Muzeum Mazurskiego, które powstało przy ścisłej współpracy uczniów - autochtonów Seminarium Nauczycielskiego. Dyrektorem tego Seminarium był Józef Biedrawa. Jako plon zainteresowań ludoznawczych Sukertowej oraz b. wychowanków Seminarium w Działdowie pozostało wiele cennego materiału etnograficznego. Materiał ten wykorzystany został w książce pióra Biedrawiny pt. „Mazury w Prusach Wschodnich" (1927).

Na skutek prześladowań, na jakie narażają ludność za kordonem druki mazurskie drukowane w Działdowie — przenosi się ta budzicielka duszy mazurskiej do Olsztyna. Odtąd „Kalendarze" ukazują się w Olsztynie przy ścisłej współpracy z Pieniężnym w tych samych zakładach drukarskich, w których ten ostatni drukuje swą „Gazetę Olsztyńską". Jako owoc tej współpracy ukazują się „Pieśni Mazurskie" Michała Kajki, widowisko ludowe pt. „Jutrznia Mazurska na Gody" Karola Małłka, skrót „Krzyżaków" Sienkiewicza i in.

Jednocześnie Sukert-Biedrawina sama podejmuje akcję popularyzowania spraw mazurskich na terenie ogólno-polskim, wydając prace: „Na Szlaku Jagiełłowym", „Zarys piśmiennictwa polskiego na Mazurach", „Z przeszłości Działdowa", „Djabeł na Mazurach w bajkach i podaniach" i wiele innych.

Piękna ta praca uległa zahamowaniu na skutek polityki „przyjaźni" z Niemcami, prowadzonej przez płk. Becka. Szereg akcji zamierzonych na terenie Prus Wschodnich nie doszedł do skutku na skutek wyraźnych dyrektyw z Warszawy.

Wybuch wojny zastał Biedrawinę przygotowaną. Część zbiorów muzeum działdowskiego została przewieziona do Warszawy, część ukryta w Działdowie. Niestety zbiory te uległy całkowitemu rozproszeniu względnie zniszczeniu podczas powstania warszawskiego. Specjalnie cenną była tam kolekcja kafli mazurskich z polskimi napisami, świadcząca o etnicznej przynależności ludu mazurskiego do Polski — kolekcja zebrana z całego niemal terytorium mazurskiego.

Lata wojny i tułaczka pod obcym nazwiskiem nie złamały jej hartu i zdrowia. Jako jedna z pierwszych zjawia się w Olsztynie, by rozpocząć z młodzieńczą energią pracę na innym, nowym posterunku. Dziś, gdy Instytut Mazurski święci drugą rocznicę swego istnienia — istnienia trudnego, bo rozpoczynającego swą pracę od podstaw — warto zwrócić uwagę na sylwetkę tej skromnej a niestrudzonej działaczki.

(j. ant.)

Poczta Działdowo. Rok 2. Nr. 18.

GAZETA MAZURSKA

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MAZUR EWANGELICKICH.

Głowica „Gazety Mazurskiej", wydawanej przez E. Biedrawinę w Działdowie (r. 1923).

Pisarze czeskiego Śląska w Katowicach Gliwicach i Sosnowcu

A. C. NOR

jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy czeskich, wybitny przedstawiciel powieści chłopskiej. Ur. w r. 1903 w Kyleszowicach koło Opawy, debiutował w r. 1925 powieścią „Buerkental". Jest autorem kilkunastu powieści, z których poza „Buerkentalem" w przekładach polskich ukażą się: „Twarz pełna światła", „Żyję życiem brata" i „Przyszedł dzień" (powieść z pogranicza sudeckiego z r. 1938). W najbliższych tygodniach ukaże się na półkach jego cykl felietonów pt. „Droga do Polski".

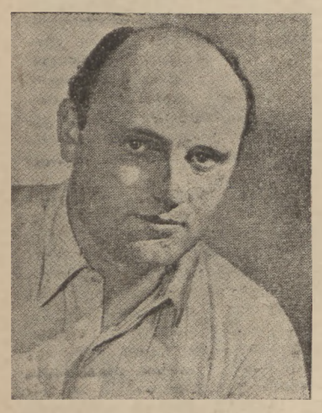

DRAHOSLAV GAWRECKI

poeta, ur. w r. 1919 w Prościejowie, autor czterech tomików poezji: „Niebo w Beskidach", „Ballada o zagubionym śnie", „Ziemie w niewoli" i „Za twoją ziemię". W poezjach jego prócz głębokiego umiłowania Śląska, silna jest nuta słowiańskiej wspólnoty i polsko-czeskiego braterstwa.

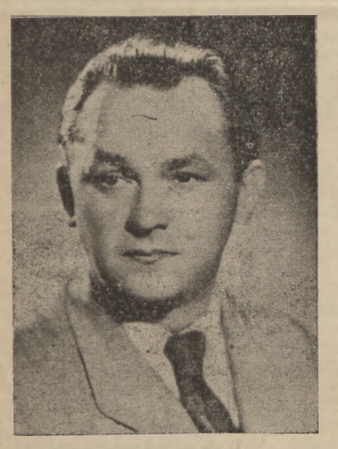

FRANCISZEK ŚMIEJA

debiutował w r. 1929 dwoma tomikami poezji w gwarze morawsko-śląskiej, które zdobyły dużą popularność i doczekały się już pięciu wydań. W r. 1933 występuje jako prozaik, dający w swych powieściach przede wszystkim obraz wsi z wyrazistym podkreśleniem jej problematyki społecznej oraz skomplikowanej na pograniczu niemiecko-morawskim problematyki narodowościowej („Brudny strumień", „Judasze" i in.).

MILAN RUSIŃSKY

krytyk i powieściopisarz, debiutował w r. 1932. Po pierwszym tomie opowiadań „Powrót" poświęcił się działalności przekładowej przede wszystkim z literatur słowiańskich (m in. tłumaczył również i z literatury polskiej). Jako krytyk i historyk literatury zajmuje się tematyką śląską (m. in. studia o Wojciechu Martinku i Piotrze Bezruczu). Napisał powieści: „Dni głodu", „Błędny ognik sławy" i „Droga do gór".

Wśród czasopism

Listy z Teatru przeszły z dwutygodnika na miesięcznik. Ostatnio zresztą ukazywały się już przeważnie w miesięcznych odstępach. Dla pisma tak ściśle związanego z sezonem teatralnym okres międzysezonowy jest bowiem czasem ciężkiej próby. Próba ta rozciąga się zresztą na czas dosyć długi, skoro w większych teatrach już w czerwcu nie pojawiają się premiery a we wrześniu jeszcze dogorywa repertuar z okresu poprzedniego. Redakcja ma wprawdzie ambicję obrazowania życia teatralnego w całej Polsce w jego najwybitniejszych przejawach, nie mniej samo pismo prócz normalnego kolportażu znacznie pewniej i liczniej trafia razem z wkładką zawierającą afisz granej sztuki do rąk czytelnika idącego do teatru. Jest to skuteczny i popularny sposób pogłębiania i szerzenia kultury teatralnej i znajomości spraw teatru stosowany również w teatrach łódzkich za pośrednictwem czasopisma *Łódź Teatralna*. Szkoda, że inne teatry nie pomyślą o podobnym sposobie pozyskiwania sobie jako tako przygotowanego widza. Nie chodzi naturalnie o to, by każdy teatr czy nawet zespół teatrów w każdym większym mieście wydawał własne pismo. Ludzi umiejących pisać o teatrze i dramacie mamy niewiele. Pożądane jest natomiast, by sąsiadujące ze sobą środowiska teatralne przystąpiły do współpracy z najbliższymi sobie terytorialnie pismami teatralnymi. Warszawa chyba sama potrafiłaby się zdobyć dla swoich teatrów na podobne pismo, ale np. Poznań mógłby się połączyć z Łodzią a Śląsk z Krakowem, tzn. z *Listami z Teatru*. Dziś np. w Katowicach płaci się za program teatralny 30 zł otrzymując w zamian kilka stron reklam, spis osób danej sztuki i jakiś artykulik na poziomie czasem zupełnie żenującym, często zawierający tylko banały i ogólniki z bylejakiego podręcznika literatury i równie często grube, brodate „byki" rzeczowe (exemplum program do „Krakowiaków" i „górali"). Podobny stan rzeczy widzimy w Sosnowcu, Bielsku i Opolu. Tymczasem *Listy z Teatru*, czasopismo obejmujące od 24 do 32 stron druku, liczne artykuły, ilustracje, fragmenty sztuk, bogatą kronikę teatralną, też kosztuje 30 zł. I najczęściej nie zawiera ani jednej reklamy. Coś tu jest więc nie w porządku i mielibyśmy prawo domagać się od naszych teatrów by zechciały pomyśleć o tej sprawie. *Listy z Teatru są popularnym pismem* teatralnym i zasługują na rozpowszechnienie w tej formie gwarantując w ręku widza teatralnego te korzyści, których dziś, w okresie dążności do upowszechnienia teatru specjalnie lekceważyć nie należy.

Nr. 15 *Listów* był numerem szekspirowsko - fredrowskim. Pierwsza część wiązała się z konkursem szekspirowskim oraz z krakowską premierą „Wieczoru Trzech Króli" w inscenizacji Bronisława Dąbrowskiego, które to przedstawienie narobiło w Krakowie sporo entuzjastycznej wrzawy, wśród której nie brakło i obwieszczeń o dokonywanej przez Dąbrowskiego „łagodnej rewolucji teatralnej" w podwawelskim grodzie. Część fredrowska wiązała się z przedstawieniami „Ślubów panieńskich" oraz „Męża i żony". Ale to, jak zwykle, tylko część numeru, poza którą stoją: artykuł Jana Giraudoux „Dwa typy reżyserii", Stefana Flukowskiego Prolog do „Chorego z urojenia", Władysława Neuwelta o pracy polskich ludzi teatru na wychodźctwie w Rumunii, wspomnienia zmarłego tragicznie Stefana Nowińskiego pt. „Historia o człowieku, który nie napisał komedii", Henryka Modrzewskiego „Reduta a teatry w Polsce" oraz kilkustronicowa kronika zagraniczna wraz z obszerniejszymi notatkami z życia teatrów w kraju.

Ostatni numer (16) pisma stoi pod znakiem Wyspiańskiego z okazji 40 rocznicy jego zgonu. Garść wspomnień osobistych o autorze „Wesela" na wstępie numeru pochodzi od Ludwika Szczepańskiego, redaktora „Życia"; „Lelewela" od strony problematyki społecznej tego dzieła omawia Janina Garbaczowska, o stosunku Wyspiańskiego do teatru i do pracy teatralnej, o jego własnym udziale w realizacji swych dzieł pisze Antoni Euzebiusz Balicki. Ponadto z pierwszą po wojnie premierą sztuki czeskiej na naszych scenach związany jest artykuł o czeskiej literaturze dramatycznej, dalej Alina Świderska daje kilka uwag o powojennych inscenizacjach Fredry i ich brakach, domagając się większej staranności i dbałości o szczegóły przy fredrowskich spektaklach, Jerzy Andrzejewski omawia najnowszą sztukę Jerzego Zawieyskiego „Ocalenie Jakuba", Lidia Łopatyńska twórczość Alfréda de Musset, Jarosław Janowski natomiast przypomina Ibsena z okazji zbliżającej się 50 rocznicy jego debiutu.

Czasopismem mało znanym, ale godnym uwagi i polecenia jest *Myśl Współczesna*, miesięcznik naukowy, oparty przede wszystkim o łódzkie środowisko uniwersyteckie, utrzymujący kontakt redakcyjny ze wszystkimi uniwersytetami w Polsce. Reprezentuje on szeroki wachlarz zagadnień naukowych od wiedzy humanistycznej do nauk ścisłych, ekonomii i socjologii. Pismo to było już na tym miejscu omawiane przy okazji cennych zeszytów specjalnych, poświęconych Ziemiom Odzyskanym i współczesnej Czechosłowacji. Ostatni zeszyt, podwójny (nr 9—10), przynosi kilka pozycji zasługujących na bliższą uwagę. Otwiera go interesujące studium socjologiczne Czesława Znamierowskiego „Normy grupy wolnej", w którym autor daje opis i analizę szeregu norm stanowiących podstawę wzajemnego stosunku ludzi żyjących w ramach dobrowolnego układu i wyboru. Celina Bobińska w pracy stanowiącej fragment większej całości charakteryzuje rolę Staszica w przebiegu sprawy pruskiej na Sejmie Czteroletnim jako zdecydowanego przeciwnika sojuszu pruskiego za cenę ustępstw terytorialnych obejmujących Gdańsk i Toruń. W postawie Staszica i grupy do niego zbliżonej widzi autor zaczątki formowania się nowożytnej świadomości narodowej, opartej na zrozumieniu konieczności poważnych reform społecznych i w nich widzącej przyszłość narodu. Obszerne studium historyczno-biograficzne Witolda Łukaszewicza dotyczy Klaudiusza Franciszka Łary odegrał czołową rolę w przebiegu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, jako przywódca paryskich sankiulotów. Zagadnień ekonomicznych dotyczą prace Tadeusza Peche „Problematyka pieniądza w gospodarce planowej" oraz Jerzego Lubowickiego „Ewolucja podstaw zowskiego (1752—1793), Polaka, któ- ustrojowych finansów komunalnych". Część artykułową zamyka tłumaczona z rosyjskiego rozprawa A. Maksimowa „Współczesne teorie fizyczne o materii i ruchu a materializm dziejowy". Uzupełnia numer kronika ekonomiczna i prawnicza oraz interesujący dział recenzyjny, w którym zwraca uwagę ocena pracy Gerharda Labudy „Studia nad początkami państwa polskiego", stawiająca tę książkę wysoko w naszej powojennej historiografii. (ki)

Nowy numer „Przeglądu Socjalistycznego"

Nowy listopadowy nr „Przeglądu Socjalistycznego" ukazał się

w powiększonej objętości

i zawiera następujące artykuły:

Uchwała CKW PPS w sprawie sytuacji międzynarodowej.

J. Hochfeld — Obecny etap międzynarodowej walki klasowej i zadania PPS,
J. Cyrankiewicz — W rocznicę wielkiej rewolucji,
K. Rusinek — Rok 1917 i rok 1945,
B. Drobner — Pierwsze dni rewolucji,
H. Świątkowski — Polityka narodowościowa ZSRR,
Cz. Bobrowski — Tempo Radzieckie,
L. Grosfeld — Dynamika i perspektywy polsko - radzieckich stosunków handlowych,
Maksym Rylski — Adam Mickiewicz,
T. Głowacki — Rząd Ludowy w Lublinie.

W Kartkach z historii socjalizmu:

J. Mulak — Narada Polityczna Polskich Socjalistów,
G. Butlow — Działalność PPS w Związku Radzieckim.

W dziale Idee — Myśli — Zagadnienia:

A. Chełmiński — Gospodarka planowa ZSRR,
A. Kaduszkiewicz — Czwarty plan pięcioletni,
G. Timofiejew — Aleksander Błock i Włodzimierz Majakowski,
R. Karst — Druga wojna światowa w literaturze radzieckiej,
J. N. Miller — Narodziny teatru radzieckiego,
J. Rawicz — Od Rylejewa do Ryleja,
L. Bukowiecki — Film Radziecki,
T. Pasierbiński — U źródeł nowej pedagogiki,
Z. Gross — Sprawy ruchu zawodowego.

Poza tym numer zawiera bogate działy: **Z życia Partii i Horyzonty. Cena numeru 40,— złotych.**

Tydzień Wrocławia

26. 10. — 2. 11.

ŻYCIE MUZYCZNE:

26. 10. Koncert poświęcony muzyce radzieckiej w Wielkim Studio Polskiego Radia. Udział wzięli: Kazimierz Wiłkomirski (wiolonczela), Maria Wiłkomirska (fortepian), Wanda Wiłkomirska (skrzypce), Waleria Jędrzejewska (śpiew), Teofila Markiewicz (fartepian). W programie: sonata D-dur na wiolonczelę i fortepian M. Miaskowskiego, Chaczaturiana — Poemat i Toccata, trio na skrzypce, wiolonczelę i fortepian Szostakowicza oraz pieśni Gherа i Wasilenki.
31. 10. Odbył się w Wielkim Studio Polskiego Radia koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii Czeskiej pod dyrekcją Rafaela Kubelika. W programie: Uwertura praska J. Maklakiewicza, IV Symfonia B. Martinu, poemat „Święty Wacław" J. Suka, poemat F. Smetany „Wełtawa", Scherzo J. Rodky oraz tańce słowiańskie A. Dvoraka.

ŻYCIE LITERACKIE:

28. 10. W Państwowym Teatrze Dolnośląskim premiera sztuki J. Priestle'a „Inspektor przyszedł" w reżyserii J. Waldena.
1. 11. Państwowy Teatr Dolnośląski w lokalu Teatru Popularnego wystawia komedię Sardou „Madame Sans-Gene" w reżyserii M. Godlewskiego.

ŻYCIE LITERACKIE:

30. 10. Odbył się 76 „Czwartek literacki" Koła Miłośników Literatury Języka Polskiego, na którym dr. Jerzy Pogonowski wygłosił odczyt p. t. „Współczesna powieść czeska na tle przeszłości literackiej Czech".
31. 10. Przybył do Warszawy znany pisarz radziecki Ilia Erenburg.

ŻYCIE NAUKOWE:

27. 10 .Odbył się w Państwowym Zakładzie Higieny we Wrocławiu odczyt dr Henryka Makowera p. t. „Z problemów virosologii współczesnej".
31. 10. 43 posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego z referatami: Edwarda Marczewskiego „O miarach w przestrzeniach nieośrodkowych" oraz S. Hartmana „O pewnym zagadnieniu dotyczącym funkcji okresowych".

Tydzień Katowic

10. XI. 1947 — 16. XI. 1947

ŻYCIE LITERACKIE

10. XI. W ramach poniedziałkowych odczytów Klubu Literackiego odbył się w sali Instytutu Śląskiego odczyt na zagadnień kultury plastycznej. Odczyt wygłosił A. Wójciak.
13. XI. Zw. Zaw. Literatów, oddział śląski zorganizował w sali Instytutu Śl. „Wieczór Literacki" Pisarzy Czeskich. Udział wzięli osobiście: Drahosław Gawrecki, A. C. Nor, Milam Rusińsky, Franciszek Smeja. Słowo wstępne wygłosił Zdzisław Hierowski, przekłady wykonali Jadwiga Bułakowska i Aleksander Widera.
13. XI. W sali odczytowej Śląskich Zakładów Technicznych,z inicjatywy inspektoratu kulturalno-oświatowego „Czytelnika", odbył się „Poranek autorski" Janusza Meissnera pt. „Moi bohaterowie lotnictwa".
13. XI. Dom Kultury Związków Zawodowych, przy ul. Francuskiej urządził wieczór poezji wojennej, pt. „Wojna i pieśń". Program wypełniły utwory Broniewskiego, Gałczyńskiego, Leca, Słonimskiego, Świetłowa, Tuwima, Baumgardtena, Prutkowskiego i Szewczyka. Recytacje: Halina Cieszkowska.

ŻYCIE MUZYCZNE

12. XI. W ramach Festiwalu muzyki słowiańskiej Polskie Radio w Katowicach zorganizowało w sali Filharmonii przy ul. Sokolskiej, koncert muzyki bułgarskiej pod dyr. Szaszy Popowa, pierwszego dyrygenta Filharmonii Narodowej w Sofii. Jako solista koncertu wystąpił pianista i kompozytor bułgarski, Pancho Vladigerow. W programie utwory kompozytorów bułgarskich, Stoyanowa, Vladigerowa, Ikonomowa, Stainowa.
15. XI. W sali Państwowej Filharmonii odbył się recital śpiewaczy artystki radzieckiej, Natalii Szpiller, solistki Akademickiego Teatru Wielkiego w Moskwie. Przy fortepianie Koncertmistrz W. Teatru w Moskwie, S. Stuczewski. W programie: Czajkowski, Glinka, Rimskij-Korsakow, Miaskowski, Verdi, Faure, Debussy, Ravel i Massenet.
16. XI. W ramach Festiwalu muzyki słowiańskiej odbył się koncert w wykonaniu orkiestry Państwowej Filharmonii i chórów Śląskich pod dyrekcją dyr. Ormickiego i prof. Rylinga. Solistka Irena Sawińska, sopran. W programie pieśni i muzyka śląska.

Teatry w Szczecinie

„TEORIA SNÓW" — „CIEŃ" — I „PANNA MĘŻATKA".

Życie teatralne Szczecina wyszło już z dotychczasowego impasu repertuarowego, a ostatnio zaczyna też przełamywać dotychczasowe trudności materialne. Szczęśliwie inaugurowany „Rozdrożem miłości" sezon teatralnej „Komedii Muzycznej" przemianowanej dnia 14 października br. na „Teatr Polski" wykazuje w dalszym ciągu dobrą passę. Ściślejsza współpraca ze związkami zawodowymi, zdecydowana zmiana na lepsze w repertuarze, częstsze gościnne występy znanych artystów polskich, zrobiły swoje. **Publiczność zaczyna chodzić do teatru.** Wielkim powodzeniem cieszyły się zwłaszcza gościnne występy **Zbigniewa Sawana** i **Lidii Wysockiej** w dowcipnej komedii Cwojdzińskiego „Freuda teoria snów" oraz występ **Marii Malickiej** w sztuce D. Nikodemiego „Cień", która jest już **czwartą pozycją** w repertuarze nowego sezonu teatralnego. Zarówno Sawan jak i Wysocka zaprezentowali nam wysoką grę aktorską. Jeszcze większy kunszt gry pokazała zweryfikowana ostatnio M. Malicka w „Cieniu". Sztuka ta, stojąca na pograniczu melodramatu, nastręcza duże niebezpieczeństwo łatwej przesady lub wygrywania tanich efektów dramatycznych i trzeba dopiero tak wielkiej artystki, jaką jest Malicka, aby ten melodramat zmienić w prawdziwy dramat, wzruszający widzów prawdą i naturalnością. Tragedia sparaliżowanej i nieszczęśliwej ale nie pozbawionej złudzeń szczęścia, Joanny, następnie jej cudowne uzdrowienie, które zamiast szczęścia przynosi jej nieoczekiwany dramat — odtworzona została przez Malicką z wielką subtelnością, umiarem i prawdą. Reszta aktorów z zespołu Teatru Polskiego pozostawała w „cieniu" gry Malickiej. Tylko p. **Artur Młodnicki** jako Robert (choć nie bez zastrzeżeń) i p. **Czosnowska — Michna** jako Helena zagrali wyraziściej. Natomiast p. **Czabanowski** w roli przyjaciela domu) i p. **Więckowska** jako pielęgniarka byli bezdusznymi figurami, rażącymi prymitywną, szablonową interpretacją. Na granicach poprawności utrzymywał się **p. Daszewski** (doktór Magre) i p. **Bernas** ((Luiza). Reżyseria p. **Rasińskiego G.** trafna. Na podkreślenie zasługują dekoracje p. **T. Rajkowskiego,** wybijającego się na coraz lepszego plastyka sceny.

Później nieco wystartował **drugi teatr zawodowy,** otwarty dnia 18 października br. jako „Teatr Mały". Prowizoryczna scena, nieograna sala, fatalny dojazd, nieoświetlona ulica, nie wróżyły najlepiej nowemu zespołowi, zaangażowanemu przez dyr. **Zb. Lubasa i Nunę Młodziejowską-Szczurkiewiczową.**

Na inaugurację wystawiono **„Pannę mężatkę"** J. Korzeniowskiego. Sztuka pozornie łatwa, ale tylko dla wielkich aktorów, którzy potrafią przesłonić prymitywną intrygę, rozwlekłe tempo i stereotypowość postaci tej sztuki. Niestety aktorzy Małego Teatru wielkimi aktorami jeszcze nie są, mimo, że w opracowanie sztuki włożyli niewątpliwie, dużo wysiłku. Wyróżnił się tylko p. **Fabisiak,** jako Major i p. **Szczurkiewiczowa** (Pułkownikowa). O ile, mimo wszystko, dla aktorów, można mieć dużo wyrozumiałości, uwzględniając ich ciężkie warunki pracy, to w żadnym wypadku nie można tego powiedzieć o tym, kto układał tekst objaśniający do programu. Tekst ten jest więcej niż denerwujący i maluczko a nadawałby się przez swoje banały i zaciemnienia stylistyczne do „gabinetu osobliwości językowych".

Bez względu na te, czy inne uchybienia poczynaniom Teatru Małego towarzyszy sympatia całego społeczeństwa szczecińskiego. Życzyć sobie jednak należy, ażeby sympatia ta wyraziła się w konkretniejszej pomocy.

Jeśli więc Teatr Mały przetrwa najbardziej kryzysowy okres, będzie mógł słusznie pretendować do nazwy „Teatru Niezłomnych". Plac o tej nazwie mamy już w Szczecinie...

Stanisław Telega.

Ruch wydawniczy

Józef Kostrzewski: KULTURA PRA POLSKA. Poznań 1947. Instytut Zachodni. Rys. 261. Stron 605.
Rozległy i wyczerpujący obraz życia naszych przodków od V do VI w. po Chr. Bogactwo ilustracji czyni książkę cenną także i dla szerokich warstw, dla których zresztą jest przeznaczona ze względu tak na wagę tematu jak i na przystępną i jasną formę. Imponujące dzieło życia wielkiego uczonego, wspaniały wyczyn wydawniczy najruchliwszego z naukowych instytutów polskich.

*

Józef Putek: MROKI ŚREDNIOWIECZA. Wyd. III. Przedmowa Emila Zegadłowicza i Marii Koszyc. Warszawa 1947. „Wiedza". Stron 332.

Już Wilhelm II pragnął „wiązać większe Niemcy (t. zn. niemieckie dobra, niemiecką wiedzę, niemiecką przedsiębiorczość, idącą za ocean) mocno z ojczyzną". O Wilhelmie II oraz o innych kierownikach polityki i nawy państwowej niemieckiej pisze obszernie Janusz Pajewski w swej pracy „Niemcy w czasach nowożytnych 1517 — 1939", wydanej przez Instytut Zachodni (stron 343).

CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
OSTATNIE NOWOŚCI

KORNEL FILIPOWICZ
KRAJOBRAZ NIEWZRUSZONY
OPOWIADANIA
Jedenaście opowiadań ilustrujących nastroje okupacyjne w kraju i przeżycia obozowe i więzienne. Wśród wielu utworów tego typu — książkę Filipowicza wyróżnia niezwykle wnikliwa analiza świadomych i podświadomych stanów psychicznych.
Str 209 zł 310

POLA GOJAWICZYŃSKA
RAJSKA JABŁOŃ
POWIEŚĆ
Żywo napisana powieść, stanowiąca dalszą część „Dziewcząt z Nowolipek", interesuje czytelników doskonałym ujęciem charakterów, nastrojów i przeżyć. Przenosi nas w okres sprzed ćwierć wieku, w tętno życia mieszczańskiego wczorajszej Warszawy.
2 tomy zł 660

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ
CZERWONE TARCZE
POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Nowe wydanie powieści tegorocznego laureata nagrody „Odrodzenia", pisanej wspaniałą, muzyczną prozą. Na tle plastycznego obrazu okresu rozbicia dzielnicowego odtwarza autor dzieje romantycznego pątnika, księcia Henryka Sandomierskiego, gnanego po świecie wiecznym wewnętrznym niepokojem.
Str 377 zł 700

JANUSZ MEISSNER
WYSPA OSTATNIEJ NADZIEI
ILUSTROWAŁ A. HORWICZ
Zbiór smutnych felietonów popularnego autora, przedstawiających barwny i plastyczny obraz życia angielskiego szarego człowieka w czasie pracy, w domu i na zabawie, w jego śmiesznostkach i dziwactwach wynikających z osławionej „tradycji".
Z całym obiektywizmem podkreśla też autor pozytywne cechy angielskiego charakteru, życia i kultury.
Str 140 zł 240

MICHAŁ PRISZWIN
KORZEŃ ŻYCIA
OPOWIADANIA
Siedem opowiadań myśliwskich i podróżniczych, opisujących przyrodę rozległych przestrzeni Rosji Europejskiej, Syberii Wschodniej, Mandżurii — puszcze nietknięte ludzką stopą, egzotyczne zwierzęta i ludzi wyrosłych w twardych warunkach pierwotnego bytowania.
Str 268 zł 420

HENRYK SZYPER
ADAM MICKIEWICZ
POETA I CZŁOWIEK CZYNU
ZARYS POPULARNY
Niezwykle ciekawy zarys monograficzny, ujmujący w wielkim skrócie całość życia i działalności największego polskiego poety i walczącego działacza demokraty. Przedmiotem specjalnego zainteresowania autora jest ostatni okres życia Miekiewicza, tło społeczne i stanowisko poety jako publicysty i polityka.
Str 244 zł 450

ADAM WAŻYK
MITY RODZINNE
POWIEŚĆ
Ciekawa powieść z czasów pierwszej wojny światowej, obrazująca życie mieszczańskie inteligenckiej rodziny i zmiany dokonujące się w niej pod wpływem dorastania i usamodzielniania się młodego pokolenia.
Str 312 zł 600

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI
OSTATNIA EUROPA
Trzy miniatury napisane w latach 1942 — 43, w czasie największego nasilenia grozy wojennej i bestialstwa niemieckiego. Autor odtwarza w nich w niezwykle sugestywny sposób proces niszczenia przez wojnę wartości kulturalnych dawnej Europy — kończąc akcentem tęsknoty do nowego kształtu Europy i Europejczyka.
Str 135 zł 200

JAN STANISŁAW BYSTROŃ
ETNOGRAFIA POLSKI
Autor szeregu wybitnych prac z zakresu socjologii, w swojej nowo wydanej książce uporządkował i scalił dotychczasowy dorobek, stwarzając w ten sposób podstawowy podręcznik w tej dziedzinie. Książka niezbędna dla każdego kulturalnego człowieka.
Str 232 zł 500

TADEUSZ ROGALSKI
ANATOMIA CZŁOWIEKA
WIADOMOŚCI WSTĘPNE Z ATLASEM
Jest to pierwszy i wstępny anatomii, omawiający części składowe ludzkiego ciała bez wnikania w szczegóły mikro - i makroskopowe, do których — jak sam autor zaznacza — powróci się w dalszych częściach podręcznika. Książka niesłychanie potrzebna, jako długo oczekiwany podręcznik akademicki.
Str 118 zł 450

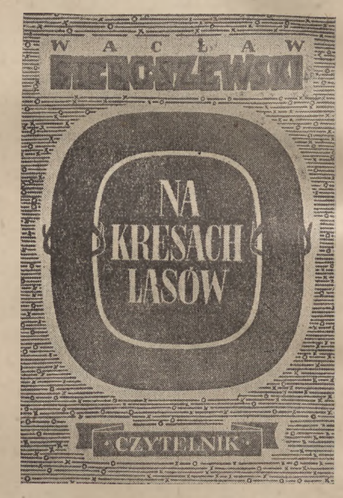

Dobrze, że wydano na nowo tę piękną powieść Sieroszewskiego, pisarza zapomnianego dziś niesłusznie, reprezentującego tę klasę pisarską, o którą dziś woła się najgłośniej — popularną a nie pozbawioną wysokich wartości artystycznych.

Zygmunt Krasiński z okresu chłopięcego. Ilustracja wyjęta z książki Józefa Mikołajtisa „Z ostatnich lat życia Zygmunta Krasińskiego" (Częstochowa, Nakł. Wł. Nagłowskiego, stron 79, ilustr.). Cenna ta praca miłośnika historii literatury polskiej zasługuje na rozpowszechnienie nie tylko wśród specjalistów.

W następnych numerach ukażą się m. in. artykuły: Wojciecha Bąka, Zbyszka Bednorza, Jarosława Rogali i innych.

Najwygodniej jest zaabonować „Odrę" w najbliższym urzędzie pocztowym. Obędzie się bez bójek przed kioskami.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12. Tel. 31059.

R 54047

Klub Literacki »Odrodzenie« *daje dobrą i tanią książkę*

Szczegóły w numerze 46 (155) tygodnika „ODRODZENIE" (44)